odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 4 czerwca 1961 r.

Nr 22 (170) Cena 1 zł

Na str. 5:

NIE ŻAŁUJ dziecku na kredki

Na str. 11:

O DZIECIACH na wesoło

MAREK WAWRZKIEWICZ

MAKARENKOWCY na ANDRZEJA STRUGA

fot. E. Kudaj

Opowieść jakby żywcem wyjęta z któregoś dzieła Antoniego Makarenki.

W początku istnienia naszej świetlicy, kiedy pracowałam w b. ciężkich warunkach prawie bez żadnej pomocy z zewnątrz, wprowadziłam punktację za dobre sprawowanie się, pomoc kolegom za wykonanie pewnych prac. Zwycięzcom obiecałam nagrody. Nadszedł koniec roku, a z nim termin realizacji obietnicy. Oczywiście nie miałam żadnych funduszy na zakup nagród. Rodzice moi mieszkali wtedy na wsi. Powiedziałam: — „Mamo, rób co chcesz, ale musisz przygotować prowiant i noclegi — przywożę tu na trzy dni dwanaścioro dzieci". I tak zrobiłam. Dzieci były zachwycone, jadły, wypoczywały, bawiły się. Kiedyś w czasie wycieczki drabiniastym wozem musiałam z wozu wyskoczyć. Zbyszek urodził się dwa tygodnie za wcześnie ...

Autorką tego jak najbardziej autentycznego opowiadania jest mgr Zofia Pawłowska, kierownik łódzkiej Świetlicy Międzyszkolnej. Tych opowiadań słyszałem wiele — o dzieciach, o pracy z nimi, o sukcesach i przezwyciężonych trudnościach. Wszystkie tak samo podobne do tych, które czytamy w „Chorągwiach na wieżach" czy „Poemacie pedagogicznym". Podobnych, mimo że ich akcja rozgrywa się w innym czasie, innych, choć nieraz niemniej trudnych warunkach. Podobne są przez indentyczną, piękną pasję, przez całkowite poświęcenie się swojej pracy rozumienie dziecka i przez miłość do niego. Akcja

(Dokończenie na stronie 8)

Teatr-repertuar -WIDZ

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ (6)

(Rozmowa z panią Michaliną Tatarkówną - Majkowską i sekretarzem KL PZPR)

— Redakcja naszego tygodnika publikuje od pewnego czasu cykl wypowiedzi pod wspólnym tytułem — „Rozmowy o polityce kulturalnej". Wiemy nie od dziś, że Pani leżą mocno na sercu sprawy kultury w naszym mieście i właśnie dlatego zapraszamy do grona uczestników rozmowy. Tym razem pragnęlibyśmy przedyskutować sprawy naszych teatrów.

Pytamy: jak Pani ocenia repertuar łódzkich teatrów?

— Zanim na to pytanie odpowiem, chciałabym stwierdzić, że nasze łódzkie społeczeństwo lubi teatr. Dowodów specjalnych tu nie potrzeba, wystarczy wymienić frekwencję. Życzliwość ta zobowiązuje teatry, którym nie wolno zapominać, że w ciągu lat widz nauczył się oceniać krytycznie zarówno sam repertuar jak i grę aktorską. Posiada już pewne wyrobione gusta i upodobania. Chce, powiem dla przykładu, nie tylko sztuk głęboko dramatycznych, czy nawet sztuk z filozoficznym podtekstem, chce również zdrowego śmiechu, pouczającej rozrywki.

W związku z Pana pytaniem: uważam, iż repertuar łódzkich teatrów jest dyskusyjny. Niektóre teatry prezentują śmiały, twórczy, niejako poszukiwawczy repertuar. Dyrekcje, reżyserzy, i zespoły przykładają dużo wagi zarówno do wyboru sztuk jak i samej ich realizacji. Potwierdza to umiejętne kojarzenie sztuk klasycznych z dramaturgią współczesną, potwierdza to repertuar, w którym pokazane są najszlachetniejsze idee i nieprzemijające prawdy o człowieku. Możemy dla przykładu wymienić, „Obronę Sokratesa", „Skowronka", „Śmierć Tarelkina", „Strach i nędzę III Rzeszy" czy też „Pierwszy dzień wolności". Zdarzają się jednak i „wpadki" albo może nieporozumienia, zwłaszcza w ostatnim czasie.

Stąd też, jeśli mi wolno powołać się na własne doświadczenia, odczuwam w ostatnim czasie pewien niedosyt. Jako obserwator i działacz biorę też pod uwagę strukturę społeczną naszego miasta, dlatego sądzę, że dotychczasowy profil niektórych teatrów wymaga rewizji.

— Z tego, co Pani powiedziała, wynika, że niezależnie od repertuaru istnieje konieczność przedyskutowania profilu poszczególnych, czy tylko niektórych teatrów. One powinny przecież stanowić zróżnicowaną całość, zaspokajać i równocześnie kształtować rozmaite potrzeby. Interesuje nas w związku z tym pewna, bardziej szczegółowa sprawa.

Pytamy: czy zdaniem Pani Łódź powinna mieć stały teatr humoru i satyry?

— Jestem przekonana, że istnieje w Łodzi społeczna potrzeba teatru o jasnym, zdecydowanym charakterze satyrycznym. Ludzie chcą słyszeć ze sceny, to przecież zupełnie naturalne, dobry dowcip, miłą dla ucha piosenkę, zwłaszcza aktualną, chcą własnych łódzkich postaci satyrycznych (jak np. znany z radia Malinowski i pan kierownik). Oczywiście, mam na myśli satyrę społeczną, zaangażowaną w walce z wadami ludzkimi i rozmaitymi mankamentami

(Dokończenie na str. 11)

Chata rumuńska

STANISŁAW CZERNIK

Kartki z notatnika literackiego

WYCIECZKA do SIEDMIOGRODU

Rumuńsko-węgierskie miasto. Stolica Siedmiogrodu. Wszystko tu niemal pół na pół — dwunarodowe, dwujęzyczne, jak nazwa: Cluj — Kolozsvar. I szkolnictwo, i prasa, i literatura. Oddział Związku Literatów, drugi pod względem liczebności — po Bukareszcie, liczy 45 członków. Połowa z nich — Rumuni, połowa Węgrzy.

Przyjmuje nas Istvan Nagy, prezes oddziału, Węgier, rodowity Klużanin. Oprowadza nas po swym „białym mieście", białym, mówię, gdyż taką barwą utrwalało się w wyobraźni od pierwszej godziny pobytu.

Istvan Nagy zawiózł nas na wzgórze leżące ponad miastem, jakieś stare miejsce forteczne, nazywane podobno „twierdzą wśród chmur". W danym momencie nazwa o tyle odpowiadała rzeczywistości, że lekka mżawka unosiła się nad wzgórzem, ale miasto leżące w dole widać było doskonale. Nasz gospodarz wprowadzał nas pokrótce w jego dzieje, obrazował stan dzisiejszy i perspektywy na przyszłość. Miasto jego dzieciństwa i młodości, a samo wzgórze wśród chmur osobliwe miejsce zajmuje wśród wspomnień pisarza.

Na spadzistym stoku tuż u szczytu widać resztki jego domu rodzinnego. Chata-zielmianka, wykop w glinianym stoku pagórka, trzy ściany mieszkania z czystej ziemi, naturalne, uzupełnione gdzie niegdzie nalepą, a tylko front chaty z desek i odpadków drzewnych oraz dach pewnie ze słomy. Tu, przed pół wiekiem urodził się Istvan Nagy w rodzinie proletariackiej. Potem dom zapadł się, ale do dnia dzisiejszego pozostały resztki glinianych ścian. Jak oberwany dół, w którym błoto i nieczystości.

Od tej jamy zaczęła się droga życiowa Istvana Nagy.. Od najmłodszych lat robotnik, specjalizował się w produkcji mebli, pracował w różnych przedsiębiorstwach, a od roku 1933 działał jako agitator komunistyczny, słowem i piórem. Obecnie poseł do parlamentu, członek akademii i przewodniczący pisarzy w Kluż i jeden z pięciu sekretarzy Zarządu Głównego Związku Pisarzy Rumuńskich. Od dwudziestu pięciu lat pisze opowiadania i powieści po węgiersku, ale książki jego ukazują się rów-

Dokończenie na str. 4

TEATR-REPERTUAR -WIDZ

(Dokończenie ze str. 1).

współczesnego życia. Satyrę w pewnej mierze łódzką, ale zawsze dobrze zrobioną.

Byłabym bardzo rada, gdyby pan Redaktor zechciał zainicjować na łamach „Odgłosów" dyskusję w sprawie teatrów, zwłaszcza zaś teatru satyry.

— *Zaczynam właśnie taką dyskusję. Rozumiemy trudności repertuarowe, wiemy, oczywiście, jak trudno jest uzyskać dobrą sztukę współczesną, wodewil czy składankę satyryczną. Ale — wracamy do teatru satyry — mimo potknięć i pomyłek, ma tego rodzaju teatry Warszawa, ma swój warszawski humor i satyrę.*

Pytamy: czy zdaniem Pani, istnieją w naszym mieście warunki do powstania teatru satyrycznego zasilanego utworami łódzkich i nie łódzkich pisarzy, czy możliwy jest m. in. program satyryczny związany z aktualnymi sprawami Łodzi?

Na pewno tak. Mamy w Łodzi wszystkie warunki, a więc łaknącego dobrej satyry widza i co równie ważne — wielu cenionych w kraju pisarzy-satyryków, często rdzennych łodzian. Chodzi tylko o to, aby ten zespół ludzi został wciągnięty przez dyrekcje teatrów do twórczej pracy. Przykro mi stwierdzić, że tak się nie dzieje. Teatry dramatyczne także zbyt nieśmiało sięgają do bezpośredniego zaplecza.

— *Pytanie ostatnie, najbardziej szczegółowe. Czy, zdaniem Pani, ma szanse rozwojowe Studencki Teatr Satyryczny „Pstrąg", dla którego nie udało się — jak dotąd — znaleźć miejsca w Łodzi?*

— Jestem za rozwojem wszystkich form amatorskiego ruchu teatralnego po śród młodzieży. Uważam więc, że wszyscy, którym nie jest obce poczucie zdrowego humoru, nie wyłączając „Odgłosów" winni pomóc w rozwoju działalności artystycznej „Pstrąga". Przemawia za tym wielotysięczne środowisko studenckie i duży dorobek. Mam na myśli dorobek artystyczny „Pstrąga" i „Cytryny".

A za to, iż „Pstrąg" nie posiada dotychczas własnego lokalu, niech się wstydzą ci, którzy już dawno powinni byli tę sprawę załatwić. Jeśli — na zakończenie — wolno mi prosić, — niechże ta sprawa będzie jak najszybciej pozytywnie załatwiona.

Rozmawiał:

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

KAROL BADZIAK

Dlaczego odszedł CHORĄŻAK?

W małych klitkach magazynu, do którego szybko wchodzili mężczyźni, trwała już gorączkowa krzątanina: pobierano narzędzia, materiał do pracy i zlecenia na dzisiejszy dzień. Magazyn powoli opróżniał się i tylko brygada dekarzy skupiona w rogu przy oknie ociągała się z wyjściem. Technik Witkowski zły był tego ranka jak osa i ledwo swą złość starał się hamować. Wpadł do magazynu, ostro opieprzył murarzy i zmusił ich do wyjścia. Do dekarzy nawet słówkiem nie śmiał pisnąć, ale właśnie dlatego, że nie mógł sobie na to piśnięcie pozwolić, tym bardziej wyładowywał swą złość na innych.

Cieśle, malarze, elektrycy, zduni, stolarze i hydraulicy pośpiesznie wynosili się na dwór, by nie drażnić krewkiego młodzieńca. Byli to ludzie starsi od niego, wyrozumiali, a ponadto zrezygnowani.

Nie podobała mi się ta ich potulność, tak jak Witkowskiemu nie podobała się moja wśród dekarzy obecność.

Dekarze są słynni i na terenie przedsiębiorstwa mają ustaloną markę: są najbardziej krnąbrni, najlepiej zarabiają, prowadzą ciągle zatargi z dyrekcją, procesują się i w ogóle r o z r a b i a j ą.

Stary hydraulik z opuchniętymi rękoma powoli gramolił się z magazynu i tylko dekarze jeszcze nie wyszli, czekali na swego kumpla, Chorążaka.

— Czepia się jak smród gaci. Jak Boga kocham, zamaluje kiedy w patelę to się nie zatrzyma aż przy bufecie Abrahama — rzekł jeden z czekających. Adresatem słów był technik.

Hydraulik schwycił mnie za guzik, przybliżył twarz do mojej twarzy, a sine żyły na jego opuchniętych rękach nabrzmiały od tego przychwycenia jak postronki. — Żeby cholera ciepłej wody do zmycia z siebie tej brudnej siajsy nie było... żeby apteczka pod kluczem... żeby... żeby... do czego to podobne — wyrzucał z siebie nerwowo, ale zciszonym głosem. Całość zakończył jednym histerycznym: „skurwysyny"! Słówko to przyniosło mu widocznie znaczną ulgę, bo szybko chwycił stojące narzędzia i z satysfakcją opuścił magazyn.

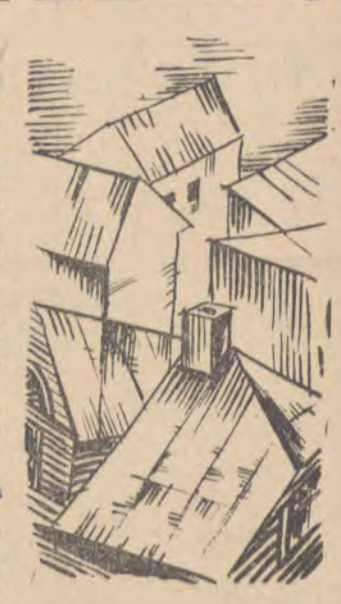

Nareszcie zjawił się długo oczekiwany Chorążak. Chorążak mógł się spóźniać do pracy, ponieważ od dziś już nie pracował, przestał być pracownikiem przedsiębiorstwa. Przyszedł zdać tylko swoje narzędzia. Woli robić u prywatnego przedsiębiorcy. Chorążak, młody ZMS-owiec przez długi okres czasu kierował walką przeciwko dyrekcji MZBM. Tamtych, którzy przed nim tą walką kierowali, już dawno nie ma, pracują u prywatnych przedsiębiorców lub sami założyli własne przedsiębiorstwa i często wykonują dla MZBM prace zlecone. Wykonawca taki otrzymuje wtedy od MZBM za posmołowanie i naprawę jednego metra kwadratowego dachu 5,50 złotego, zaś pracownikom swoim płaci 1,75 zł.

Technik Witkowski długo mi tłumaczył dlaczego zwolniono na wiosnę kilkunastu malarzy i dekarzy. — Dobrze, że na wiosnę — dodał. Teraz o robotę takich fachowców nie trudno. Przed wojną zwolniliby ich na zimę. Dekarze i malarze ciągle napinali do granic ostateczności fundusz płac, ba, rozbijali go jak szczęściarz kasę ruletki. A wiadomo co robi właściciel kasyna, kiedy widzi, że znaleźli się goście, którym szczęście sprzyja. Po prostu zamyka cały kram na kłódkę i idzie na spacer. Z przedsiębiorstwem jest trochę gorzej, przedsiębiorstwo nie da się zamknąć na kłódkę. Dyrekcja zatrudnia 118 robotników, a roczny plan roboczy wynosi 9 mln złotych, co oznacza na jednego pracownika 75.400 zł przerobu. Planowany w stosunku do przerobu fundusz płac może się kształtować gdzieś w granicach 29 procent, a tymczasem dzięki wydajnej pracy, fundusz płac dekarzy osiągał aż 60 procent. Dekarze pożerali więc fundusz płac, bo robocizna jest tu droga, a materiał tani. Podobnie malarze, którzy za metr kwadratowy ściany otrzymują 120 groszy, a cena materiału zużytego do pomalowania tego metra wynosi 110 groszy.

Inaczej zupełnie wygląda robota cieśli. Dobry cieśla daje w ciągu roku 120 tysięcy złotych przerobu, a fundusz płac obciąża niewiele bo około 20 procent w stosunku do tego przerobu.

Jednym słowem i po ludzku: przedsiębiorstwu opłaca się zaangażować cieślę, ponieważ według ustalonych cenników jego płaca jest rentowna, daje korzyści.

Mechanizm ekonomiczny sprowadza się do tego, że im większa jest rozpiętość między wartością surowca a zarobkiem pracownika, tym bardziej ten pracownik jest rentowny. Prawo ekonomiczne jest surowe, ale dachy też trzeba smarować, a i ściany choć raz na jakiś czas musowo malować lub chociaż pobielić. Prawa natury popadają jak widać w konflikt z prawami ekonomii politycznej, co w konsekwencji bardzo komplikuje nam ludziom życie i spowodowało, że młody robotnik musiał opuścić przedsiębiorstwo państwowe i poszukać sobie „szefa" w prywatnej inicjatywie.

Zanim usiadłem do napisania tego reportażu przejrzałę stertę okólników, cen-

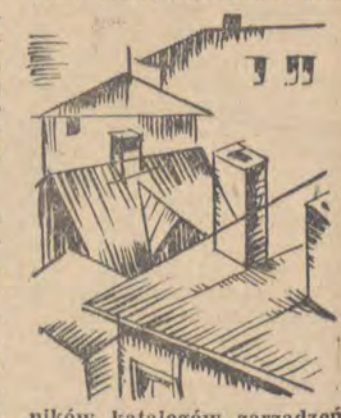

ników, katalogów, zarządzeń, rozporządzeń, postanowień, uchwał i innych ważnych a niezbędnych przepisów, regulujących stosunki między pracownikami i pracodawcami czyli stosunki między robotnikami a administracją państwową. Jednocześnie między lekturą bardzo ważnego zarządzenia a jeszcze bardziej ważnego aneksu dodanego do tego zarządzenia przeprowadziłem — idąc stopień po stopniu w hierarchii administracyjnej — szereg rozmów z pracownikami fizycznymi i umysłowymi, z robotnikami, z inteligencją, z kierownikami, ze zwierzchnikami zwierzchników oraz z podległymi im i zależnymi od nich. Przyznam szczerze: wysiłku włożyłem wiele, a rezultaty mierne.

Wszystko tak jest powikłane, gąszcz to tak olbrzymi, że nawet pracownicy instytucji nie bardzo się w tym całym bigosie orientują. Szanse mamy więc równe: moja bezradność równa się ich bezradności, z tym, że

(Dokończenie na str. 9)

Błędne koło oświaty

„Kto mądrość posiadł — pouczał Mahomet — zaprawdę skarbem największym włada. Szukajcie wiedzy, jest to obowiązkiem każdego prawowiernego mężczyzny czy kobiety, szukajcie wiedzy, nawet gdy trzeba po nią wędrować do Chin".

Rozkwitały więc nauki w krajach arabskich. W „Księdze Jasności" Al Dżahiz, historyk obyczajów z IX wieku, oddaje hołd sławnym uczonym z Kufy, Bagdadu i Basry, ale przede wszystkim wychwala zwykłych, szeregowych nauczycieli, niedożywionych lecz znających się na rzeczy i pełnych zapału.

Jednakże już w początkach XV stulecia znakomity Ibn Chaldun ze smutkiem stwierdza ogólny upadek kultury, wyludnienie się uniwersytetów, brak szacunku dla nauki, powszechny analfabetyzm. I przeciwstawia rodakom Franków, u których — jak słychać — żywiołowo wzrasta oświata.

Sprawa rozwoju i udoskonalenia metod powszechnego nauczania jest jednym z podstawowych problemów naszych czasów. Dla dzieci Ameryki Łacińskiej, południowej Azji, Czarnej Afryki oraz arabskich krajów Bliskiego Wschodu jes to chyba problem ważniejszy jeszcze niż skutki nędzy, głodu i chorób.

Artykuł 7, uchwalonej przez Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych, Deklaracji Praw Dziecka głosi: *„Dziecko ma prawo do wykształcenia, które powinno być bezpłatne i obowiązkowe przynajmniej w zakresie podstawowym..."* Niestety, w krajach zaniedbanych w rozwoju i ten minimalny postulat nieprędko jeszcze będzie spełniony.

Na ogół w krajach Bliskiego Wschodu, a również w Syjamie czy na Filipinach szkoły podstawowe obejmują siedmioletni okres nauczania i większość dzieci może do nich uczęszczać. Odczuwa się tylko tragiczny brak nauczycieli. W takim Maroko czy Sudanie instytuty pedagogiczne wypuszczają tylko 25 procent liczby uznanej za konieczne minimum roczne. W Libii jest jeszcze gorzej. Stosunkowo najlepiej przedstawia się sprawa w Zjednoczonej Republice Arabskiej, a raczej w Egipcie, ale i tu nie dostaje specjalistów, zwłaszcza gdy chodzi o języki obce oraz nauki ścisłe. W państwie gwałtownie rozbudowującym gospodarkę narodową każdego fachowca ceni się na wagę złota, ale za to w niektórych szkołach średnich o nachyleniu humanistycznym młodzież uczy się matematyki tylko przez dwa lata. W Libii w klasach przedmaturalnych 20 godzin tygodniowo przeznacza się na naukę języków obcych i ani jednej na matematykę lub fizykę.

W krajach południowej Azji obowiązkiem szkolnym objęte są dzieci w wieku od 6 do 10 lat. Obowiązkiem jedynie na papierze, w rzeczywistości w Indii, Pakistanie, Indonezji, Iranie do szkół uczęszcza mniej niż 50 procent dzieci. W Afganistanie, Laosie i Nepalu — od 10 do 20 procent. Uczą się przeważnie chłopcy, w niektórych rejonach na dziesięciu uczniów przypada nie więcej niż jedna uczennica.

Nie tylko dlatego, że rodzice są niechętni. Większość szkół buduje się w miastach, ale większość ludności mieszka na wsi. W Nepalu 85 procent osiedli to rozrzucone wioszczyny liczące mniej niż 50 mieszkańców. Oblicza się, że w słabo zaludnionych rejonach jedna szkoła powinna obsługiwać teren około 10 km kwadratowych. W Pakistanie i na Malajach szkoła wypada na 25 km², w Birmie i Nepalu — na 60 km², w Iranie aż na 200 km². W Indii brak przeszło 180 tysięcy szkół, żeby choć w części zbliżyć się do normy.

„Kraje zapóźnione w rozwoju nie wydźwignq się z nędzy, o ile nie znajdą sposobu na rozbudowę oświaty. Ogólna nędza jest głównym hamulcem rozwoju oświaty" — stwierdza raport UNESCO.

Oto prawdziwe błędne koło.

Cóż z tego, że — przy ogromnym wysiłku rządów — buduje się wiele, że w Birmie przybywa rocznie 1.800 szkół, na Filipinach 2.200, w Indii — 12.000. Sukcesy niweczy niesłychany w tych krajach przyrost ludności. Należałoby budować czterokrotnie więcej, żeby utrzymać ów, jakże niski, dotychczasowy poziom oświaty.

Według perspektywicznego planu, zakładającego objęcie siedmioletnim nauczaniem wszystkich dzieci w 15 krajach Azji południowej (bez Chin oczywiście i krajów demokracji ludowej, gdzie procesy te przebiegają zupełnie inaczej) trzeba do roku 1980 wybudować około półtora miliona nowych szkół, wykształcić około 7 milionów nauczycieli i zapewnić co roku przypływ dalszych 600 tysięcy absolwentów instytutów pedagogicznych. Ogólny koszt operacji, przy wydatkach pięciokrotnie niższych niż w Europie, ma wynosić ponad 56 miliardów dolarów. A wszystko to, żeby osiągnąć rezultat, który na Zachodzie uważa się już za niewystarczający.

A przecież w porównaniu ze stanem dzisiejszym postęp byłby niebywały. Zapewnić pełne wykształcenie podstawowe 237 milionom dzieci to plan ambitny, jeśli się zważy, że dzisiaj uczy się na tym obszarze niecałe 35 milionów i że owe niepełne szkoły niższe kończy najwyżej połowa zapisanych do pierwszej klasy. W Indii zresztą — zaledwie jedna piąta.

Jak może być inaczej, gdy nauczyciele są słabo przygotowani — większość nie posiada nawet ukończonej szkoły średniej, gdy brakuje pomocy naukowych, zdarzają się nauczyciele, którzy na oczy nie widzieli mapy, gdy programy są fatalnie przeładowane.

Zgodnie z tradycyjną na Wschodzie metodą nauczania zmusza się uczniów do wykuwania na pamięć wszystkich przedmiotów, a jest ich niemało. Dzieci ze szkół podstawowych mają się nauczyć arytmetyki, historii, geografii, podstawowych wiadomości z dziedziny nauk przyrodniczych, wiedzy o państwie i prawie, religii i etyki (traktowanych jako encyklopedyczny zbiór sentencji, starożytnych hymnów i poematów, wreszcie pouczeń jak podobać się bóstwom i możnym tego świata). Dochodzą do tego zajęcia praktyczne — roboty ręczne, nauka jakiegoś rzemiosła lub inne przysposobienie zawodowe, rysunki, śpiew, taniec, gimnastyka i sport. A w końcu dochodzą do tego języki.

Z tym jest najgorszy kłopot. Nie zawsze język używany w domu jest równocześnie obowiązującym językiem państwowym. Poza tym narzecze lokalne nie może być zazwyczaj językiem wykładowym, bo nie posiada odpowiedniej ilości terminów, szczególnie z dziedziny techniki. I tak w Afganistanie dzieci uczą się perskiego, jako języka literackiego, pusztu — oficjalnego oraz własnego: jednego z kilkudziesięciu dialektów — aż w dwudziestu drukuje się podręczniki. W Indii obowiązuje język angielski, hindu i miejscowy. Na Cejlonie niedawno wybuchły rozruchy, ponieważ wprowadzono dla Tamilów jako obowiązkowy obok angielskiego język syngaleski. Ale bywają okolice, gdzie dzieci uczą sie jednocześnie pięciu języków.

Nic dziwnego, że nawet najzdolniejsi uczniowie mają dość.

Według „Kuriera UNESCO" opracował K. J.

Miłych Czytelników

którzy nie mogli zgadnąć o jakiej uczelni była mowa w „Reportażu z kolorowej szkoły" (Odgłosy nr 22), informujemy, że w bardzo szarym budynku przy ul. Próchnika mieści się Liceum Sztuk Plastycznych.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Ludzie z pociągu"

Kazimierz Kutz należy chyba do nielicznych jeszcze u nas reżyserów, w których twórczości filmowej wyraźnie odczuwa się indywidualność reżysera. „Ludźmi z pociągu" kontynuuje on swój ulubiony rodzaj twórczości zapoczątkowany „Krzyżem walecznych". Widać to przede wszystkim w nasyceniu obrazu całym wachlarzem ciekawych i istotnych szczegółów, formujących konstruktywną całość. Kutz potrafi obserwować, zaś materiał obserwacyjny przekazywać widzowi.

Fabułę jego nowego filmu można stosunkowo krótko opisać. Oto pewnego dnia podczas okupacji, na małej stacji kolejowej zaszła konieczność odczepienia dwóch wagonów z przeładowanego pociągu osobowego. Część pasażerów musiała pozostać na stacji i czekać na następny pociąg, lub też być zdaną na humor niemieckiego Bahnschutza który mógłby zezwolić na kontynuowanie podróży w przejeżdżających w tym czasie pociągach towarowych. W ciasnej poczekalni znaleźli się szmuglerzy, złodzieje kieszonkowi, szulerzy, starsze małżeństwo, przekupki, kobieta z dziewczynką, kilkunastoletni chłopak, młody konspirator i podróżująca z nim jego dziewczyna.

Poszczególne postacie są bardzo dobrze scharakteryzowane przez reżysera i aktorów. Wystarcza gest, grymas twarzy, sylwetka, czyjeś odezwanie, by stworzyć jędrny, żyjący obraz ludzkiego tłumu. Obraz bardzo zróżnicowany, w którym umiejętnie wydobyto różnorodność typów ludzkich.

Kapitalne postacie są dziełem nie tylko reżysera, ale jak już wspomniałem — aktorów. Pod tym względem „Ludzie z pociągu" nie mają chyba słabych miejsc. Na szczególne wyróżnienie zasługują: Danuta Szaflarska, jako kobieta z dziewczynką, którą bardzo ciekawie gra Małgosia Dziedzic. W roli chłopaka z koszykiem oglądamy Macieja Damięckiego. Tej trójce nie ustępują również: Janina Traczykówna, Andrzej May, Jerzy Block, Aleksander Fogiel, Zdzisław Karczewski.

Wspomniałem, że istnieją w filmie reż. Kutza również słabe miejsca. Do nich zaliczyłbym środkowe partie filmu, których tempo, a co za tym idzie, zainteresowanie widzów bardzo spada. Jest to chyba winą przede wszystkim scenarzystów (Mariana Brandysa i Ludwiki Woźnickiej) oraz reżysera, wydaje się, że zabrakło mu jednak materiału na pełnometrażowy film.

Nie sposób nie napisać kilku słów o znakomitych zdjęciach operatora Kurta Webera, których zasadniczą cechą jest unikanie zbyt wymyślnych ujęć na rzecz dobrej, plastycznej kompozycji kadru; kompozycji logicznej. Ważnym elementem ekspresji tego filmu stała się muzyka napisana przez Tadeusza Bairda.

Janina Traczykówna w nowym filmie Kutza

Ulubiona aktorka „Mieszanki filmowej" Mylene Demongeot w filmie „Słaba płeć"

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

„Słaba płeć"

Michela Boisrond nie zaliczamy w kinematografii francuskiej do wielkich mistrzów. Jest za to na pewno reżyserem świetnie znającym swój fach i potrafiącym nawet z banalnego scenariusza zrobić film przyjemny i bardza atrakcyjny. Tak było w przypadku „Paryżanki" z Brigitte Bardot, tak jest ze „Słabą płcią", reprezentowaną przez naprawdę urocze, ładne i zgrabne aktorki oraz gwiazdki filmu francuskiego: Mylene Demangeot, Pascale Petit, Jacqueline Sassard.

Całą tę uroczą, dziewczęcą trójkę uwodzi nie mniej przystojny i sympatyczny amant młodego pokolenia, Alain Delon. O Don Juanie nakręcono chyba tyle filmów ile było tylko ku temu okazji. Kręcono je na nutę tragiczną i komediową. Ta ostatnia chyba najprzyjemniej brzmi. Toteż pochwalić należy reż. Boisronda za miły film, w którym udało mu się zaangażować nie tylko atrakcyjne gwiazdki, ale także dać widzowi odrobinę miłego humoru i przedstawić kilku dobrych aktorów tej klasy, co znany z „Babette" — Francis Blanche oraz stale oglądany we francuskich filmach, Noel Roquewert.

A. N.

„Piotruś"

Nowa ciekawa premiera w łódzkich kinach jest jeden z najbardziej kasowych filmów Walta Disneya „Piotruś Pan". Choćbyśmy pisali, że filmy rysunkowe Disneya są zbyt cukierkowe w rysunku, że reprezentują jakiś pseudorealizm, że są staroświeckie, nikt jednak chyba nie zaprzeczy, że zadziwiają precyzją techniki animacyjnej, pomysłowością sytuacji, świetnym nagraniem dźwięku, a przede wszystkim owym czymś, co określamy jako urocze.

Dla dzieci „Piotruś Pan" podobnie jak niedawno oglądany „Bambi" będzie zajmującym i ciekawym, dla dorosłych uroczym filmem z pogodnym nastrojem bajki.

EWA SUL-BORSKA

„W środku nocy"

Film Paddy Chayevsky'ego i Dalbert Mann'a „W środku nocy" tylko pozornie kończy się happy endem. Łzawa historyjka „o prawdziwej miłości 56-letniego fabrykanta damskich sukien do 24-letnie sekretarki" stanowi tylko pretekst dla głębszych rozważań moralnych i obyczajowych. Poznajemy rozwój miłości bohaterów i związane z tym perypetie. Oglądamy reakcje otoczenia na wiadomość o mającym nastąpić ślubie — siostry histeryczki, która ma bratu za złe, bo to godzi w jej interesy, córki, bo kocha ojca i zna seksuologię z tanich broszur, matki dziewczyny, bo nic nie rozumie i dlatego się sprzeciwia, wreszcie przyjaciela, który jest za (bo sam zmarnował swoje życie spędzając je na płodzeniu dzieci z niekochaną żoną i robienie pieniędzy, a mając 59 lat oszukuje sam siebie, szukając miłości).

Poznajemy dokładnie środowisko, w którym żyją bohaterowie i które ukształtowały bohaterów filmu, a także ich codzienną egzystencję. Dodajmy, że środowisko to zostało starannie i troskliwie pokazane. Rozmowy córki starego z ciotką, mieszkanie matki dziewczyny, scena obiadu na cześć narzeczonych itd. — mogą służyć za przykład świetnej roboty reżyserskiej. Oglądamy wreszcie tragedię starzejącego się człowieka, który nie chce i nie może uwierzyć we własną starość. Oznacza ona nie tylko reumatyzm i zmęczenie, oznacza też śmierć. Zmusza do myślenia o wartości i sensie życia, które minęło. Każe przeprowadzić jego szczegółową analizę i nasuwa wniosek, że nic z tego co nazywało się dotąd życiem nie ma istotnej wartości. Bohater próbuje więc odnaleźć właściwy sens życia i znajduje go w miłości.

Pod melodramatyczną warstwą film mówi o istniejących między ludźmi zależnościach, o ich szarej egzystencji pośród samochodów, lodówek, komfortowych mieszkań za 240 dolarów. Tu, w fabularnych podtekstach kryje się właściwy dramat filmu — ludzka samotność. Wszyscy bohaterowie filmu są samotni. Próbują oszukać własną samotność nawiązując jakieś między sobą, pozorne przecież, porozumienia. Nie pytani mówią o swoich sprawach, próbują zainteresować sobą innych. Zauważmy, jak obsesyjnie powtarzają autorzy swe wyznania na zabawie sylwestrowej, w fabryce, w domu dziewczyny.

Wstrząsająco brzmi wyznanie przyjaciółki Betty — „będę robiła zakupy, mąż będzie grał w kręgle, potem umrzemy". Nijakości wygodnej egzystencji, dla której sprawami pierwszej wagi jest urlop na Florydzie, a wszystko jest wiadome i z góry przewidziane — próbuje się przeciwstawić para bohaterów filmu: starzejący się mężczyzna i dziewczyna.

Próba ta okazuje się w filmie udana. Ale ów happy end jest tylko pozorny. Kryje się za nim bowiem wielkie ludzkie cierpienie.

WYCIECZKA do SIEDMIOGRODU

Dokończenie ze str. 1

nież w przekładach rumuńskich. Uważany jest za jedynego pisarza węgierskiego, przedstawiającego w beletrystyce proces przeobrażania się chłopa w robotnika. Zaprasza ny do osiedlenia się w Węgierskiej Republice Ludowej, nie zdecydował się na opuszczenie rodzinnego Siedmiogrodu.

Nieudany dzień. Mieliśmy w planie podróż samolotem z Kluż do Tirgu Muresz. Odległość niewielka, ale według obliczeń organizatorów powinniśmy zaoszczędzić kilka dobrych godzin.

Zerwaliśmy się przed świtem. Należało o pół do ósmej stawić się na lotnisku. Pędzimy, przybywamy punktualnie, może zdążymy zjeść przed odlotem śniadanie, o ile na miejscu jest bufet. Nie zawiedliśmy się co do tego szczegółu. Pijemy kawę, czekamy. Godzina, dwie. Jedziemy? Tak, tak, niezadługo. Więc znowu kawa — z rumem. Godzina, dwie. Kiedy odlecimy? Niezadługo, gdzie jak gdzie, ale do Tirgu Muresz na pewno. Czekamy, jeszcze kawa — z podwójnym rumem. Pogoda dobra, słońce, ciepło, chodzimy po lotnisku. Odlecimy? Tak, tak, bez wątpliwości. Za chwile, niezadługo. Minęło południe, nadszedł czas poobiedni czyli „dupa masa", bo tak na zywa się ta pora dnia po rumuńsku. Ale i dupa masa niedobra. Znowu godzina, dwie. Pijemy kawę — z potrójnym rumem. Więc jak, bo wieczór nadchodzi?... Już. Prosimy do samolotu. Jaka ulga! Po tak długim oczekiwaniu. Przyszedł pilot-kapitan, popatrzył, uśmiechnął się, pokręcił głową, wyszedł. Mija pół godziny, wreszcie wieść: odlot odwołany. Tak nam minęło osiem słonecznych, pogodnych godzin na lotnisku w Kluż. Lecz słońce zaszło i wracaliśmy pochmurni do miasta.

Co się stało? Nikt nie wiedział. Znaleźliśmy wytłumaczenie w przesądzie: zbieg trzech trzynastek, dwie umieszczone są w dacie, a trzecia — to trzynasty dzień naszego pobytu w Rumunii. Musiało stać się przesądowi zadość — tak przypadek pomaga przesądom. Więc nie wyjedziemy fatalnego dnia z Kluż? Zanosi się na to. Nie możemy dostać się do pociągu, taki dziwny natłok podróżnych. Zrozpaczony prof. Holban podejmuje trudną decyzję: pojedziemy taksówką. A nuż i taksówka podlegnie wpływom trzynastki? Dwa razy coś się popsuło, raz zbłądziliśmy, lecz przesąd został przezwyciężony. Późnym wieczorem przybyliśmy do Tirgu Muresz.

Kluż — posąg Stefana Wielkiego.

Tirgu Muresz, 27 listopada

Tirgu Muresz jest stolicą tzw. autonomicznego obwodu węgierskiego w Siedmiogrodzie, a więc centrum węgierszczyzny pod względem językowym, kulturalnym i społeczno-politycznym.

Tu na każdym kroku widoczny rozmach rozwojowy. Miasto liczy 80.000, przed wojną — 35.000. Nowe dzielnice mieszkaniowe świadczą o ruchu budowlanym znacznie większym niż w Kluż i gdzie indziej w Siedmiogrodzie. Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Szkoła Teatralna. Ciekawe tradycje dziejowe. Pamięć Bema uczczona tablicą pamiątkową na gmachu, w którym toczyła się ważna narada wojenna. Pieczołowicie utrzymane Muzeum Teleky'ego. Dla nas interesująca pamiątka: dyplom Towarzystwa Królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk dla Samuela Teleky z dnia 28 kwietnia 1811 roku z podpisem Stanisława Staszica, jako prezesa i Ludwika Osińskiego, sekretarza. A oto druk ex officina typographica Gasparis Heltj, Claudiopoli (Kluż) z 1584 roku, łacińska książka „De Admistratione Transylvaniae", poświęcona Stefanowi Batoremu (adiecta est ad maximum et victorem Poloniae Regen gratulatio). Z przyjemnością widzimy w spisie białych kruków pierwodruki dzieł Długosza i Kromera.

Koledzy węgierscy pragną pokazać nam jak najwięcej. Jest tu oddział związku literatów, 15 członków, wyłącznie pisarzy węgierskich. Wychodzi miesięcznik literacki, formatem i objętością przypominający naszą „Twórczość". Dwoimy się i troimy, jeżeli tak można nazwać próbę odzyskania wczorajszego straconego dnia. Trzeba zobaczyć i Akademię Medyczną, i nowe zakłady przemysłowe. Wpadamy do szkoły teatralnej, stamtąd na otwarcie dorocznej wystawy plastycznej, gdzie mnóstwo prac rzeźbiarskich świadczy o rozwoju tego działu sztuki. Czeka nas spotkanie z pisarzami. A tu znów specjalnie dla kol. Machejka organizuje się wypad do pobliskiej spółdzielni produkcyjnej. Tam wprowadzają nas najpierw na przedstawienie dziecięce. Uroczą przedszkolanka wita nas pozdrowieniem rosyjskim. Tak się jednak biedaczka speszyła, że zamiast „zdrastwujtie" zaczęła od „do swidania". Przedstawienie trwało króciutko, i ruszyliśmy natychmiast do spółdzielni. Tym razem wprost do obory bez względu na błoto. Nie miałem odwagi zstąpić w maź głęboką, lepką i czarną jak smoła. Zostałem w samochodzie. Natomiast Machejek wrócił z obory przejęty stanem i ilością pogłowia świń, twierdząc, że wiele straciłem. Stratę tę jednak odbiłem na spotkaniu ze spółdzielcami. Na stole — znakomite kęsy paprykowanej słoniny, jaja i oczywiście cujka. Mogli dla nas przygotować kurczęta i indyki — twierdził przewodniczący spółdzielni — woleli jednak postawić na stół to, co jest codzienną strawą pracujących chłopów. Dobra była ta ich słonina. W trakcie rozmów zjawiły się dzbany białego wina. Wychyliłem szklaneczkę stwierdzając wyborny smak trunku. Zaraz widocznie zauważono mój zachwyt, gdyż od tego momentu szklaneczkę moją stale napełniano. A wino wydawało mi się coraz smaczniejsze. Machejek, który zawsze przekładał cujkę nad najlepsze wino, twierdził potem złośliwie, że sam wypiłem dzbanek wina, a może nawet półtora. Może. Jakkolwiek było, to świetne wino pozwoliło mi dobrze przetrwać pracowity dzień w Tirgu Muresz.

Bicaz, 28 listopada

Opuściliśmy Tirgu Muresz z pewnym niedosytem. Tu warto było spędzić kilka dni. Za bardzo błyskawicznie przebiegliśmy przez ten interesujący świat, ledwie dotknąwszy spojrzeniem kilku szczegółów. A ludzie? Najmniej o nich wiemy. Z jednej strony trudności językowe, nie zawsze rozwiązalne przez pośrednictwo tłumaczy, z drugiej — tempo, pośpiech przerzucający nas z miejsca na miejsce, od przedmiotu do przedmiotu, od człowieka do człowieka, od zagadnienia do zagadnienia. Uprzejmość, przychylność — oto co spotykaliśmy na każdym kroku. Nie mogliśmy przedłużyć pobytu. Plan naszej wycieczki, opracowany szczegółowo w Bukareszcie, nie pozwalał na jakiekolwiek odchylenia ze względów komunikacyjnych. Musiała być zachowana łączność między przewidzianymi dla nas środkami przejazdu.

Z Tirgu Muresz do Bicaz jechaliśmy samochodem. Przewinęliśmy się przez wschodnią stronę Siemiogrodu, najbardziej górzystą i malowniczą. Zawsze w podobnych okolicznościach marzę o typie powolnej i nieskrępowanej podróży. Żeby można było swobodnie zatrzymać się „gdzie dusza zapragnie". Ot, choćby nad brzegiem rzeki Muresz, bardzo tu „czystej-przezroczystej", przy wierzbowym gaiku prószącym ostatnie jesienne liście, przy stadku owiec i pasterzu-starowinie, przy tartaku, by po spalinach motoru odświeżyć oddech żywicą piłowanych sosen. Sprawa pozornie prosta, a jednak nie zdarzyła mi się nigdy taka „wolna podróż". I tu mogłem o niej tylko marzyć.

Kluż — Hotel Continental.

Towarzyszył nam młody prozaik, publicysta (osobliwa rzecz, wierszopisarstwo, tak pospolite gdzie indziej, nie kwitnie w Tirgu Muresz). Lajos Fábián włada językiem rosyjskim i zamierza uczyć się po polsku, by stać się pionierem kontaktów literackich między Polską a Tirgu Muresz. Wymieniliśmy adresy. Zobaczymy co z tych zamiarów wyniknie.

W połowie drogi zatrzymaliśmy się w miasteczku Gheorghieni na obiad. Lajos Fábián, twierdząc, że zna tu jedną z najprzedniejszych „piwnic" Siedmiogrodu, znikł na pół godziny. Wrócił z winem. Może za wiele w tych notatkach wspominam o winie, ale nie mogę tego motywu pominąć, zwłaszcza w tym momencie. Wino w Gheorghieni okazało się wysokiej jakości, nie wiem czy kiedykolwiek piłem wyborniejsze.

Pod wieczór przerzynamy góry dzielące nas od Bicaz, do którego, zmierzamy. Wąwozy, kaniony, nazywane, jak informuje prof. Holban, „kluczem Bicazu". Samochód na dnie wąskiej drogi między urwistymi ścianami przypominałby pewnie pędzącego chrabąszcza, gdyby ktoś patrzał z góry. Rzadko tam wspina się człowiek, ciągle tam królestwo zwierząt, równie niebezpieczne jak królestwo ludzi.

Właśnie wzmiankuje o tym prof. Holban. Jest takie miejsce bardziej szerokiego rozziewu między urwiskami, do którego przywiązana jest legenda, a może nawet prawdziwa opowieść z dziejów górskiego państwa zwierząt. Na szczytach rozgrywał się pościg: pędziły wilki za uchodzącą kozicą. I oto przepaść, ów szeroki rozziew między skałami. Któż może wiedzieć czy nastąpiła choćby sekunda wahania się uciekającej kozicy? Czy poniósł ją niewstrzymany rozpęd i ślepy strach, zmuszając do skoku? Był to nieunikniony skok śmierci, na który nie ważyło by się zwierzę w innym momencie. Skok w śmierć przed inną śmiercią. A może była jednak sekunda lub cząstka sekundy poprzedzająca „decyzję", sekunda wyboru, sekunda świadomości zwierzęcej czy choćby nawet instynktu. Oceniając tragedię kozicy kategoriami naszego myślenia, skłonni jesteśmy sądzić, że była taka sekunda, moment wyższy, bohaterstwo wyboru.

O zmroku dojeżdżamy do Bicaz. Czeka już na nas samochód z Bukaresztu, zamówione kwatery, wszystko zgodnie z planem.

Żegnamy uprzejmego Lajosa Fábiána, wracającego na noc do Tirgu Muresz. Pragniemy też odpoczynku. Oto nasz pokój. Wita nas piec hurkotem płonących szczap sosnowych. Żywica pachnie jak przyjemny anachronizm.

STANISŁAW CZERNIK

KRYSTYNA WOJTASIK

Paradoksy telewizji

Możliwe, że w ogóle paradoks, jakaś zasadnicza a zaskakująca sprzeczność założeń i skutków działania, tkwiąca również w samej formie odbioru — najbardziej masowej i najbardziej jednocześnie intymnej, stanowi istotę telewizji.

Bo nie jest chyba przypadkiem, że każdy z moich rozmówców — telewidzów, był zarazem przeciwnikiem i zwolennikiem telewizji, że oceniając jej działanie dodatnie, odnajdywał i podkreślał równocześnie jej cechy ujemne.

To swoiste pro i contra, stanowiące nieodmienny element odczuć i wrażeń odbiorców telewizji w znacznej mierze, jak się przekonałam, rzutuje również na ich uczuciowy stosunek do tego cudownego wynalazku naszej epoki, gasząc entuzjazm, lub wręcz powodując niechęć. Oczywiście, stopień owej niechęci tak jak i stopień krytycyzmu zależny jest głównie od zawodu i wieku telewidza, to znaczy od jego poziomu kulturalnego.

A są to właśnie cechy niezbędne u odbiorcy telewizji, i tylko one mogą zamortyzować niebezpieczne jej działanie.

Na czym to niebezpieczeństwo polega?

Przede wszystkim, jak udało mi się zauważyć, telewizja działa hamująco na życie kulturalne właściciela aparatu, z drugiej strony jednak uprzystępniając mu je, a często stanowiąc jedyną jego formę.

O ileż bowiem prościej, wygodniej i łatwiej jest otworzyć telewizor, położyć się na tapczanie i patrzeć w zaczarowane pudełko często myśląc o czym innym, niż wgryzać się w treść wartościowej, ale trudnej książki lub postarać się o bilet do teatru. A poza tym bilet do teatru kosztuje, trzeba się ubrać, wyjść z domu...

Telewizja uczy więc wygodnictwa, rozleniwia, pozbawia przeżycie kulturalne elementu zdobywania, który, jak wiadomo, stanowi najczęściej czynnik mobilizujący.

Łatwizna jest niebezpieczna. Zwierzył mi się jeden z moich rozmówców (mechanik samochodowy), że odkąd posiada telewizor przestał chodzić do teatru. Sądzę, że nie należy on do wyjątków. Natomiast inny powiedział, że tylko dlatego był na „Młodych lwach" w kinie, bo właśnie zepsuł mu się telewizor. A tak naprawdę, woli obejrzeć gorszy film w telewizji, niż lepszy w kinie. Tak przecież miło położyć się wygodnie na tapczanie i patrzeć w szklany ekran, kiedy się jest zmęczonym po pracy... Niebezpieczeństwo, że telewidz na tym tapczanie i w tej pozie już pozostanie, jest dość realne.

I nie odgrywa tu nawet decydującej roli program TV, który jednak powinien być tak pomyślany, aby jednocześnie zubożając życie kulturalne telewidza — bo to chyba nieuniknione — wzbogacał je jak najbardziej, aby kształcił, wychowywał i uczył właściwego odbioru własnych odbiorców. Można powiedzieć, że jest to błędne koło. Istotnie. W tym punkcie stykają się, a jednocześnie wchodzą w konflikt zadania i skutki telewizji.

Ale na tym polega właściwy odbiór? Oczywiście, na zdolności wyboru, która jednak znów łączy się z poziomem kulturalnym danego telewidza. Lekarz, aktorzy, literat, którzy brali udział w przeprowadzanych przeze mnie rozmowach podkreślali ten moment. Wybierają taką czy inną audycję zależnie od jej wartości, czy własnych zainteresowań. Widz niewyrobiony, tej zdolności wyboru najczęściej nie posiada, nie jest do niej zdolny. Ogląda „ciurkiem" wszystko, zwłaszcza, gdy jest telewizyjnym neofitą. Nie każdy potrafi wyłączyć telewizor, gdy ma ochotę poczytać książkę, telewidz niewyrobiony, nieprzygotowany kulturalnie nie potrafi tego uczynić, i nie odczuwa nawet takiej potrzeby. A z drugiej strony oczywiście jemu telewizja najwięcej daje, a przynajmniej dać powinna, jemu jest najbardziej potrzebna, stanowiąc często jedyne źródło wiadomości i estetycznego przeżycia.

Takiego więc widza należy nauczyć wybierać, aby zapobiec zanikowi jego aspiracji i potrzeb kulturalnych aby zabezpieczyć go przed pożerczymi ambicjami telewizji.

Bo ten moment również jest bardzo istotny. Telewizor jest naprawdę „złodziejem czasu", czasu potrzebnego na intensywne i wielostronne życie kulturalne.

— Im gorzej, tym lepiej — powiedział jeden z moich rozmówców — telewidzów, lekarz. Im gorszy program, tym mniej mnie kusi, mam czas na książkę i teatr. Dzięki Bogu, że program jest taki zły!

Kwestia programu stanowi jednak odrębne zagadnienie. Jednak właśnie we właściwym doborze i bogactwie programu prof. dr Stefan Hrabec, który również był moim rozmówcą, widzi ratunek przed czasochłonnością oraz hamującym i zubożającym życie kulturalne wpływem telewizji.

A także w tym, aby w określonych godzinach nadawane były audycje dla określonych kręgów społecznych i zawodowych. W ten sposób telewizja sama, według prof. Hrabca, wybierze za telewidza, który dotychczas był zdany na własne siły, właściwy dla niego program. Oczywiście, myśl jest słuszna. System ten stosowany już jest przez telewizję w odniesieniu do młodzieży. Wyniki jednak tych rygorów zależą od rodziców, od domowej dyscypliny, która nie często jest przestrzegana. Łzy, złość, prośba robią swoje i młodzież nie ogranicza się do audycji przeznaczonych dla siebie. Mało tego, ona stanowi najwdzięczniejszy i najchłonniejszy krąg telewidzów. Rodzice zgodnym chórem występują przeciwko telewizji, jako czynnikowi odciągającemu od nauki, działającemu w pewnym sensie demoralizująco na młodzież, przyzwyczajając (znów) do łatwizny. A przecież telewizja naprawdę uczy i kształci dzieci i młodzież, powiększa zasób ich wiadomości i wiedzę o świecie. I oto mamy jeszcze jeden paradoks telewizji.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

NIE ŻAŁUJ DZIECKU NA KREDKI

Jak o dziecku — to albo rzewno — lirycznie albo pryncypialnie. A ja chciałbym jakoś zwyczajnie, trochę bezprogramowo nie tyle na skutek okazji 1-czerwcowej, ile pod wrażeniem pewnej wystawy. A może i nie tyle pod tej wystawy wrażeniem, ile ot, dla pogwarki z czytelnikami „Odgłosów". A jeżeli z tej pogwarki wyniknie jakaś wymiana myśli — też będzie pięknie.

Kiedyś na dużej i okropnie mądrej naradzie sędziwy profesor politechniki w dyskusji na temat słabego przygotowania maturzystów do studiów odezwał się mniej więcej w ten sposób:

— Pewnie, szkoła średnia powinna dać określone w programie nauczania przygotowanie do studiów wyższych, ale dla mnie bodaj równie ważne jest wykształcenie w wychowankach wrażliwości na piękno: potrzeby obcowania z muzyką, z poezją, ze sztuką w ogóle.

Zwracając się do nauczycieli powiedział:

— Jeżeli wam nie uda się obudzić w uczniach nawyku słuchania muzyki, oglądania obrazów, obcowania z dobrą książką będzie to tak samo przykre, jak byście ich nie nauczyli matematyki, fizyki, historii czy literatury ojczystej.

A więc chodziło o wychowanie estetyczne.

Ale ja dziś nie o tym wszystkim pogawędzić chciałem, tylko w związku z tą Wystawą — twórczości plastycznej dzieci łódzkich. Jest to bodaj pierwsza tego rodzaju wystawa ogólnołódzka, którą poprzedziły wystawy dzielnicowe.

Wzięły w nich udział niemal wszystkie szkoły podstawowe i przedszkola łódzkie.

Warto ją obejrzeć! Urzeka i wzrusza piękno prymitywu dziecięcego: prześliczne „patykowanie", wycinanki, wypowiadanie się w rozlicznych, dziecku dostępnych technikach. Szacunek budzi systematyczna, mądra praca nauczyciela, który od chaotycznych jednobarwnych plam dziecka — 3—4-letniego kształtuje, doskonali sprawność jego ręki, wrażliwość oka na kształt, barwę i harmonię prowadząc ku wyzwoleniu się kształtu niemal że artystycznego.

Jest to jednocześnie jakiś wyraz twórczej, ciągłej pracy przedszkola i szkoły w dziedzinie bogacenia wrażliwości estetycznej, a tym samym ukazywaniu coraz to innych przejawów piękna.

Jest to również chyba bardzo prosta i właściwa droga ujawniania talentów i kształtowania w niezbyt dalekiej przyszłości społeczeństwa ludzi, dla których obcowanie ze sztuką będzie potrzebą każdego dnia.

Koniecznie obejrzyjcie tę wystawę w naszej hali sportowej. Staniecie się wtedy na pewno entuzjastycznymi mecenasami twórczości dziecięcej.

A swojej Zosi, Halince, czy Jurkowi nie żałujcie złotówki na kredki, pędzelek czy papier.

Nie tylko z okazji Dnia Dziecka.

J. Winer kl. III b
Szk. Podstawowa nr 90

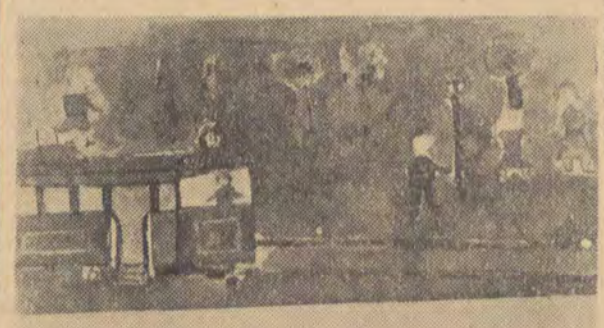

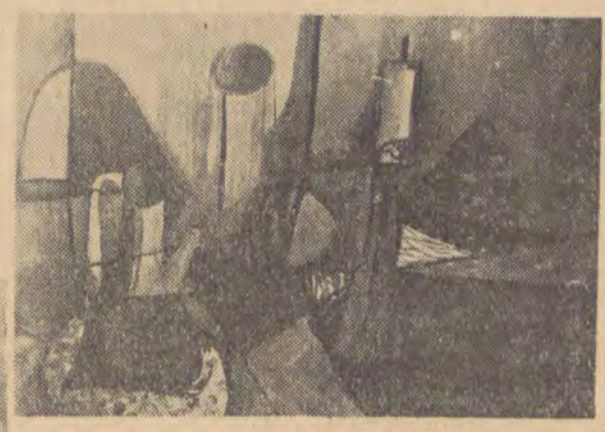

Rus. I. Szulc

Irena Szulc kl. VII a
Szkoła Podstawowa nr 11

Rus. J. Winer

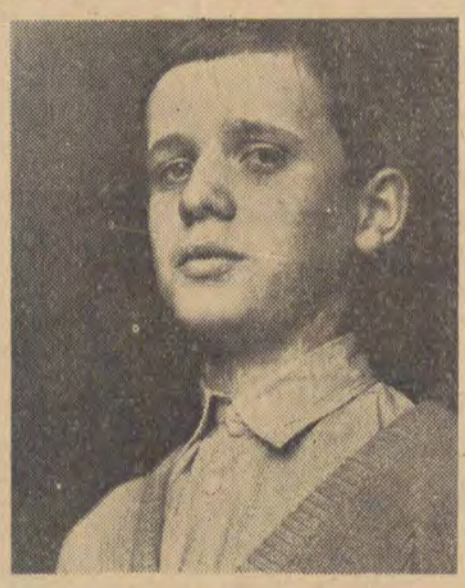

R. Gaida kl. V c
Szkoła Podstawowa nr 36

Rus. R. Gaida

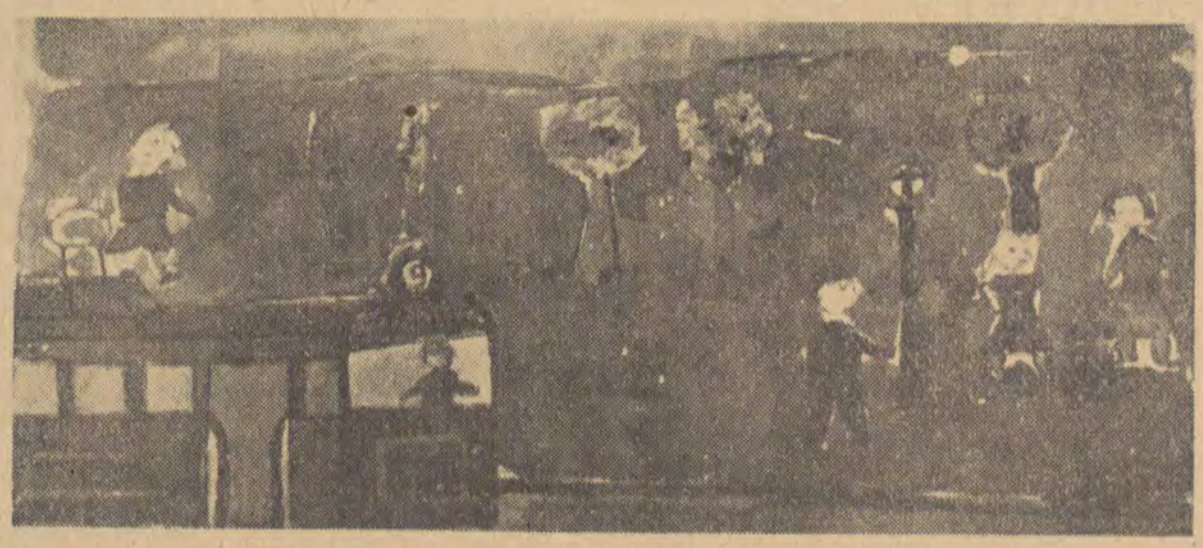

Zdjęcia E. Kudaj

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

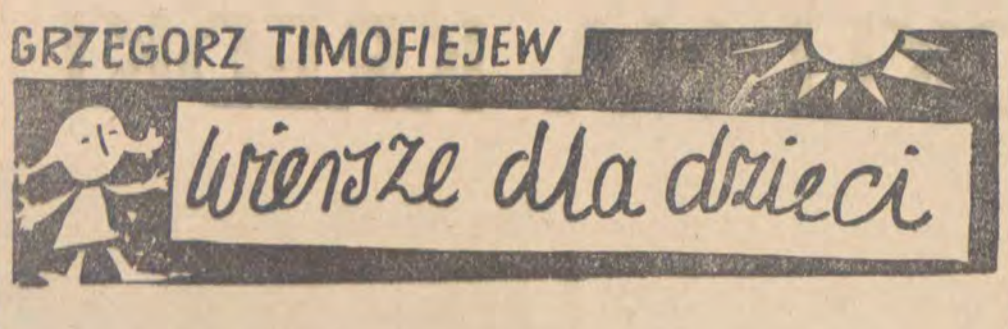

Serduszko

Basia stuka po szybach,
Palcem różowym wodzi...
A wróbelek pomyślał,
Że to promyk czarodziej.

Ćwierknął wiatrom i brzózkom,
Że to już, że to ciepło...
A to dziecka serduszko
Między ptactwo wybiegło.

Zaświeciło jak słonko
I ogrzało mi biurko.
Potoczyło się niebem
I zginęło za chmurką.

Śledziowa przechwałka

Przechwalały się dwa śledzie.
Los je zetknął przy obiedzie.
— „Jam do lepszych gości przywykł,
Bom smaczniejszy, bom z oliwy".
— „Jam ważniejszy, pan nad pany!
Bom w śmietanie wykąpany".
Taka kłótnia niesłychana,
Że oliwa i śmietana
Lecą w bryzgach złej wściekłości
Raz na obrus, raz na gości.
Aż półmisek się nadąsał:
—„ Coś się, śledziu, tak rozpląsał?"
Wreszcie zacne grono gości
Zjadło śledzie aż do ości.
Teraz przypatrz się talerzom:
Jednakowo ości leżą.
Nie przechwalaj się, kolego,
Gdy być dumnym nie ma z czego!

Wicher

Poszły dzieci na wycieczkę.
Droga biegnie lasem.
Ciemny wicher wyśpiewuje
Raz cienko, raz basem.

Jakby cięło sto toporów,
Hałas, huk po lesie...
I po chwili cicho, cicho!
Nawet echo rwie się.

Tylko mała drży gałązka
U płaczącej iwy,
Lecz jej wicher nie połamał,
Chociaż dął straszliwy.

Wiersze z tomu „ZOO na zabawie", który ukazał się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego 1961 r.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

Na przykład PICASSO

Gorszy niektórych jeszcze i dzisiaj. Nie tylko laików i przypadkowych oglądaczy jego obrazów, ale także zawodowych plastyków — i co dziwniejsze — profesjonalnych niejako głosicieli nowatorstwa. Czy Picasso jest nowoczesny? Owszem, jest. Ale czy jest jako plastyk nowatorem? I tu następują zdania najbardziej różne i sprzeczne. Większość uważających się dzisiaj za nowatorów odpowie, że owszem, kiedyś tam, na początku, gdy razem z Braque'iem wpadł na pomysł kubizmu, albo w tym czy tamtym okresie niebieskim, różowym, murzyńskim czy krystalicznym — to Picasso był nowatorem, ale kiedy wrócił do neoklasycyzmu, do arlekinów, do pejzaży śródziemnomorskich i do gołąbków pokoju, — to owszem, jest nowoczesny, ale nie jest nowatorski.

No więc, wynika z tego, że nowoczesność, to niekoniecznie to samo, co nowatorstwo. Nie każdy twórca nowoczesny jest nowatorski, ale czy nowatorski jest eo ipso nowoczesny? Śmiem wątpić. Przykład Picassa świadczy właśnie, że nowatorstwo, to tylko eksperyment, a nowoczesność to pojęcie szersze, głębsze i trwalsze niż nowatorstwo, chociaż nowatorstwo to nieodzowny element nowoczesności.

Zilustrujmy to na dwóch wypowiedziach: teoretyka i praktyka. Julian Przyboś pisze: *„Kto maluje to co wie o przedmiocie, lub co czuje dla przedmiotu, a nie to co ujrzał i co z ujrzanego wybrał, jako najważniejsze — ten może budzić zainteresowanie ideologów i lubiących nastroje panienek, ale nie tych co kochają malarstwo".* Tymczasem Pablo Picasso wyznaje: *„Impresjoniści chcieli ukazać świat taki, jaki widzieli. Mnie to nie pociąga. Chcę ukazać to, co o świecie myślę".*

Dwie diametralnie sprzeczne wypowiedzi. Komu dać wiarę? Oczywiście praktykowi czyli Picassowi, który wedle teoretyka Przybosia „nie kocha malarstwa" i „może budzić zainteresowanie" tylko „ideologów i lubiących nastroje panienek". A czy tak jest? Śmiech pusty ogarnia. Oto jak można być nowatorem i nic wspólnego nie mieć z nowoczesnością. Bo nowoczesność, to przede wszystkim treść myślowa, bez której nowatorstwo staje się czysto słowną, a więc jałową mistyfikacją.

Nie można praktyki przystosowywać do teorii. Teorią jedynie inspiruje się praktykę, która z kolei i każdorazowo koryguje teorię aż do jej odrzucenia włącznie. Tak właśnie postępuje w swojej praktyce, jako malarz i plastyk Picasso i dlatego od przeszło sześćdziesięciu lat jest ciągle nowy, ciągle zaskakujący, ciągle odkrywczy, inny i odmienny — a więc najistotniej właśnie nowoczesny!

Ale czy niepowtarzalny? Owszem, powtarzalny, ale tylko w tematyce — nigdy w formie. W tej dziedzinie „repeter c'est aller contre les lois de l'esprit" (powtarzać to zaprzeczać istocie rzeczy). Na tym polega zasadnicza różnica między kubizmem Picassa i Braque'a. Braque zmieniał tematykę, ale w raz odkrytej formie powtarzał się, pozostawał ten sam, zastygł — podczas gdy Picasso poszedł dalej, łamiąc kolejne stadia kubizmu (analitycznego, syntetycznego, hermetycznego), lecz pozostając w granicach wciąż tej samej tematyki. Policzcie jego gołąbki pokoju — temat ten sam, a jakież coraz bogatsze treści! Jest w tym zgodny z naturalnym porządkiem rzeczy „Je ne travaille pas d'apres nature, mais avec la nature", (Nie tworzę według natury, lecz tak jak natura) — powiedział. Drążąc analizą formalną wciąż ten sam temat dociera wreszcie, do jego istoty. Na tym polega proces postępu (doskonalenia!) w sztuce (i w naturze).

Czemu się wdałem w tak szczegółowe rozważania o Picassie? Aby na jego przykładzie twórczym, przykładzie największym na miarę naszego wieku, a więc niewątpliwie genialnym, udowodnić przewagę w sztuce praktyki nad teorią, zależność formy artystycznej od zawartości myśli czyli po prostu odczutej i uświadomionej treści życiowej. Uderzająca nowość artystyczna „Guerniki" byłaby nie do wyobrażenia bez uprzedniego przejęcia się Picassa grozą wojny domowej w Hiszpanii jako zapowiedzią drugiej wojny światowej. Nowość formalna „Guerniki" okazała się w tym wypadku odkrywczą i proroczą, że tak powiem, historiozoficznie. Za każdym eksperymentem formalnym Picassa kryje się jego głębokie przeżycie, uświadomiona myślą i osądzona sumieniem treść życiowa. Dlatego jego eksperymenty nie są czcze, lecz twórcze, bo mają pokrycie w treści, która w jego dziełach zawsze poprzedza formę i ją warunkuje jako naturalną konieczność. Nowatorstwo jego formy jest funkcją nowoczesności jego tematyki, zaś artyzm jest funkcją treści.

Że twórczość Picassa jest jeszcze tak mało zrozumiała i budzi tak szeroki sprzeciw? To tylko świadczy jak mało ludzi prawdziwie nowoczesnych jest wśród ogromnej większości współczesnych. Ba! — fałszywie nowoczesnych jest bardzo wielu: to właśnie ci jałowi formaliści bez pokrycia w nowoczesnej treści, która jest solą każdego nowatorstwa.

TADEUSZ PAPIER

UCIECZKA Z ZIEMI OBIECANEJ

Zestawienie narzuca się samo — „Ucieczka z ziemi obiecanej" ma być dalszym ciągiem albo raczej epilogiem — „Ziemi obiecanej". Tak rozumiem intencję autora. Ale czy tak jest? Między tymi dwiema powieściami oprócz wielu różnic istnieje jeszcze jedna zasadnicza, mianowicie różnica spojrzenia. Rymkiewicz ożywia te wątki, których Reymont w ogóle nie brał w rachubę, wyzwoleńcze dążenia ruchu robotniczego, konstruuje więc swoją powieść na zupełnie innych założeniach. Poza tym, co tu dużo mówić, mimo niezbyt odległych wydarzeń „Ucieczka z ziemi obiecanej" nie jest w pełnym tego słowa znaczeniu powieścią współczesną, jest zabarwiona kolorytem powieści historycznej, w tym zaś zakresie Rymkiewicz ma swoją poetykę, której i teraz pozostaje wierny. Czasami można odnieść wrażenie, jakby autora „Ucieczki" nie obchodziła troska o iluzję artystyczną. Exodus z „Ziemi obiecanej" (okupantów politycznych — faszystowskich Niemców i okupantów gospodarczych — potentatów przemysłu), która w ciągu jednej nocy przestaje być dżunglą krwiożerszych rekinów (wedle reymontowskiego obrazu) i przeobraża się w miasto ludzi pracy, opiera na drobiazgowej analizie historycznej. W pamiętniku Jurka Gertnera i we wspomnieniach robotników znajdujemy fakty wyjaśniające procesy wyzwalania. Nie można ich ograniczać wyłącznie do zwycięskiego natarcia wojsk radzieckich. Ten akcent był decydujący i koronujący chwilę, więcej, był jakby zawiązaniem zerwanej kiedyś nitki, którą w powieści reprezentują Nowakowie i Kaliszewscy, a z drugiej strony prości żołnierze radzieccy. Ale rewolucja narastała daleko wcześniej, stary Nowak przypomina rok 1905, bez tego pytania „dlaczego?", które się ustawicznie pojawia w powieści (dlaczego epilog musiał być taki a nie inny) i które tylko na pierwszy rzut oka wydaje się całkowicie jednoznaczne, odpowiedź byłaby powierzchowna i nieprzekonująca. Dzięki Rymkiewiczowi otrzymaliśmy w literaturze nową historię Łodzi, wolną od tendencji do hipostazowania i antropomorfizowania tego terminu. Nie ma w niej mowy o nadzwyczajnych wyrokach lub sądzie historii, są fakty, są ludzie, ludzkie dramaty, dramat Pawła Gertnera.

Ta historia jest przetopiona w tyglu powieściopisarza. Łódź, „typowa siedziba plutokracji, wyspa bogaczy na morzu proletariatu, pałace i gmachy publiczne opasane wieńcem ruder, drewniaków i zakopconych kamienic...". Łódzkie podwórka, krzykliwe, „w których od rana do wieczora, bez przerwy, słyszałeś łomot małych fabryczek lub stukot ręcznych warsztatów..." Można podziwiać tylko bogactwo obserwacji (znakomity opis ulicy Kilińskiego, „dłuższej niż Piotrkowska", ale nie tylko ten opis), a także fantazji twórczej, pozornie ograniczanej przez przysłowiową już wrażliwość o zachowanie prawdy historycznej. W czerpaniu ze źródeł historii trzeba wykazywać niemniej przenikliwy zmysł obserwacyjny jak w bezpośrednim „podglądaniu życia": co wybrać i jak przedstawić przez prawdę artystyczną prawdę życia? Wydaje mi się, że wizja miasta jest chyba w powieści najlepszą warstwą.

Dzieje Pawła Gertnera, syna łódzkiego przemysłowca (z rodu Geertcerów, dziad Otto Gaertner przybył do osady Łódki z Saksonii w 1860 r.) stanowią jeden wątek powieści. Drugi kontrastowy przedstawia kartę ludzi dotychczas „zbędnych", Dąbrowy, Gawlika, Nowaków, którzy w ową noc ucieczki Niemców pełnią wartę w opustoszałej fabryce. Jest to, moim zdaniem, wątek mniej udany. Rzecz rozgrywa się w czasie jednej nocy, z 18 na 19 stycznia, kiedy zasnute czernią miasto, wstrząsane konwulsjami odchodzącego frontu, oczekuje na nowych gospodarzy. Ale gospodarze miasta już są, czuwają, pilnują fabryki, Gawlik, Dąbrowa, Staszek, byli robotnicy, słudzy, lokaje.

Ale dramat Pawła Gertnera polega nie na konflikcie z robotnikami, pilnującymi fabryki jego ojca, a ze swoją przeszłością. To już należy do historii, ale jeszcze żyje w pamięci ludzi, czym jest ta przeszłość, czym zapas nagromadzonego czasu, pisze Rymkiewicz — bagażem, który przygniata, a który bohater chce zrzucić z siebie, jak coś narzuconego wbrew woli. I dalej (tok rozumowania Pawła): „Wojna zabrała nam wszystko... a teraz chcą nas obarczać odpowiedzialnością za naszych dziadków i ojców, za nasze pochodzenie społeczne..." Paweł nie chce się poddać tym uroszczeniom dziedzictwa i tradycji, nie chce mieć nic z tym wspólnego, mówi, nie dam się wziąć na łańcuch pokoleń... chcę rozerwać to ogniwo. Wstrząsająca jest scena, kiedy fanatyk Białecki usiłuje zamknąć Pawła, kiedy rzuca mu w twarz obelgi, nie jestem Niemcem, odpowiada Paweł i czytelnik wierzy temu wyznaniu. Paweł również odchodzi z miasta, ale nie drogą na zachód, w mieście zostają Nowakowie i Gawlikowie, tymi akcentami zamyka Rymkiewicz swoją powieść o Łodzi.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

UCIECZKA Z ZIEMI OBIECANEJ

WYDAWNICTWO MON 1961

Str. 176 Cena zł 14

ZBIGNIEW NIENACKI

Czy koniec «teatru na pustyni»?

Drukując ten artykuł pragniemy wywołać dyskusję na temat sytuacji w teatrach łódzkich. ZAPRASZAMY RED.

„Kocha, lubi, szanuje" Tadeusza Kożusznika i Aleksandra Grossa — jest komedią, nasuwa jednak zupełnie poważne refleksje. Stanowi doskonałe potwierdzenie zjawiska, o którym w naszym mieście zaczyna być coraz głośniej. Mam na myśli kryzys repertuarowy łódzkich teatrów, kryzys jakiego nie notowano u nas od dobrych kilku lat. Świat kulturalny Łodzi z niepokojem śledzi działalność kierowników artystycznych i literackich, którzy zachowują się jak ludzie tonący — chwytają się nie tylko przysłowiowej brzytwy (Howarda, Suchowo-Kobylina, Gibsona), ale na ślepo, ratując się, wciągają w odmęty tych, co ich pragną uratować — współczesnych dramaturgów. Sytuacja już dojrzała, aby dokonać jakiejś narady ludzi odpowiadających za losy teatrów łódzkich i zastanowić się wreszcie, dlaczego nasze teatry nie mają przemyślanej linii repertuarowej, nie wypracowały sobie określonych profili i kto odpowiada za godny pożałowania bałagan sprawiający, że na przykład, przez kilka lat w ogóle nie ma u nas Brechta, a nagle prawie w jednym tygodniu otrzymujemy w jednym mieście aż dwie premiery jego sztuk. Kto odpowiada za to, że gdy padają wołania o teatr współczesny, o współczesną dramaturgię, otrzymujemy z teatrów odpowiedź, której nie można nazwać inaczej jak prowokacją — wystawia się „Okulary" Lutowskiego lub „Ucieczki" Sokorskiego. Mają te sztuki dowieść, że współczesna dramaturgia jest nic nie warta. Chcieliście współczesności, no to ją macie, „chcieliście Polski, no to ją macie, skumbrie w tomacie, pstrąg". Rzeczywiście, pozostaje tylko „Pstrąg", z nowym i podobno niezłym spektaklem.

Teraz nic nas już zdziwić nie może. Nawet jeśli w Małej Sali ujrzymy „Księżniczkę Czardasza", Teatr Powszechny zacznie próbować Ionescu, a „7,15" Tołstoja. Powoli przyzwyczajamy się do lekceważenia z jakim odnoszą się teatry do publiczności, a jedyne do czego nie mogą nas one zmusić, to aby chodzić do teatru i pisać dobrze o tym, co jest złe. Nikt się zresztą nie liczy z tym, co piszą prowincjonalni recenzenci. Kierownicy artystyczni łódzkich teatrów opamiętają się dopiero, gdy warszawska prasa w sposób negatywny oceni repertuar łódzkich teatrów. Nie stanie się to jednak rychło, albowiem łódzkie teatry od dawna już zostały przekreślone jako konkurent dla stolicy, nikt tu nie ma ochoty przyjeżdżać. Nie pomoże w tej sprawie nawet import sztuk z Warszawy i specjalnymi autokarami sprowadzani recenzenci. Albowiem należy także wiedzieć co importować. Sztuki Lutowskiego i Sokorskiego musiały przynieść tylko fiasko. Nie można bowiem robić spektakli sztuk **dla Warszawy**, a trzeba je robić **dla Łodzi.**

Co to znaczy w praktyce? Znaczy to, że należy oczywiście sprowadzać sztuki z Warszawy, Krakowa czy Nowej Huty. Ale sztuki dobre. Nie urządzać w Łodzi prapremier importowanych, prapremier za wszelką cenę, prapremier, których zazwyczaj nie chce Warszawa. Robić premiery dobrych sztuk, które cieszą się zainteresowaniem w Warszawie, Krakowie czy Kielcach. A na prapremiery rezerwować miejsce przede wszystkim dla łódzkich dramaturgów. Czemu nie sprawdzić, czy sztuka łódzkiego pisarza, Jana Czarnego nie jest przypadkiem lepsza od sztuki Sokorskiego, czy Lutowskiego? Lecz tamci dwaj mieli w Łodzi prapremiery, a ten jakoś doczekać się nie może. Jestem pewien, że dla życia kulturalnego w naszym mieście więcej uczyni teatr, który sztukę łódzkiego pisarza będzie lansował na rynek krajowy, zamiast sprowadzać i pokazywać kiepską sztukę wpływowej osobistości.

Przypomnę słowa Kazimierza Dejmka, który powiedział udzielając swego czasu wywiadu prasie warszawskiej:

„Jeśli już państwo wydaje pieniądze na teatr — niechże je wydaje rozsądnie; jeśli już dopłaca grube tysiące do każdego przedstawienia w każdym teatrze — niechże je dopłaca w o wiele większym stopniu do przedstawień polskich autorów".

Pozwolę sobie sparafrazować owe zdania:

Jeśli już łódzka Rada Narodowa dopłaca rok rocznie grube tysiące do łódzkich przestawień, niechże ma korzyść z tego i łódzkie środowisko pisarskie, niechże się dopłaca także i do łódzkich autorów.

To nie partykularyzm mówi przeze mnie. Odzywa się we mnie troska o rozwój kulturalny naszego miasta. Niech się bowiem w Paryżu martwią o Paryż, a my martwmy się o Łódź. Bo Lutowski da sobie radę bez pomocy Romana Sykały, a Włodzimierz Sokorski lub Mackiewicz poradzi sobie bez pomocy Kazimierza Dejmka. Ba, gdyby choć oferowali nam towar pierwszej jakości. Ale skoro tak nie jest i skoro nie jest tak, że tych dziesięciu łódzkich dramaturgów da sobie radę bez pomocy tegoż Sykały i tegoż Dejmka, czemu przed nimi zamyka się drzwi teatru?

Cóż z tego, że w swoim czasie wystawienie w Teatrze Powszechnym prapremiery łódzkiego dramaturga, Obidniaka, spotkało się z oporem niektórych osób w Warszawie? Czas pokazał, że wystawienie sztuki Obidniaka było sukcesem Teatru Powszechnego, a wystawienie Lutowskiego, tak polecanego — tylko klęską. Oczywiście, i w tym wypadku można robić prowokacje. Z dwudziestu sztuk łódzkich autorów jakie zdążyłem poznać, można wybrać najgorszą i dowieść, że myśli podobne do tych, które wyłożyłem — są bzdurą. Sądzę, że w pewnym stopniu stało się tak w przypadku „Kocha, lubi, szanuje".

Gdyby w Łodzi w sprawach teatru decydowali ludzie dobrej woli, komedyjka Kożusznika znalazłaby się na deskach nie Teatru im. Jaracza, ale w Teatrze Ziemi Łódzkiej lub „7,15". Otrzymałaby recenzje pobłażliwe i wszyscy byliby zadowoleni. Tymczasem bardzo wątpię w entuzjastyczne przyjęcie spektaklu Kożusznika w Teatrze im. Jaracza. Do salonu z meblami nie chodzi się kupować agrafki, śniadanie należy jeść rano, kolację wieczorem, w przeciwnym razie grozi choroba. Choroba ta, zwana pomieszaniem kompetencji przez łódzkie teatry, jest już tak widoczna, że nawet najspokojniejszy i najbardziej pobłażliwy krytyk teatralny jakim jest M. Jagoszewski z „Dziennika Łódzkiego" w sposób niesłychanie ostry zaatakował, na przykład, politykę repertuarową Teatru Powszechnego.

Aby wystawić komedię Kożusznika w Teatrze Jaracza musiano sztuczce doro bić „filozofię" i uzasadnienie „ideowe". W niezwykle pompatycznym wywiadzie z autorem, jaki zamieszczono w programie, autor sztuki w sposób autorytatywny zabiera głos w sprawie trudnego problemu współczesnej młodzieży i powiada, że *„w toku pisania, widząc co mi wychodzi spod pióra, stwierdziłem, że młodzież, którą usiłuję przedstawić nie jest taka zła, jak to się wydaje naszym moralizującym mentorom powyżej czterdziestki"*. Innymi słowy należy rzeczywistość przykrawać do sztuki a nie odwrotnie, jak to ongiś bywało.

Autor powiada: *„a w ogóle przekonałem się ponownie, że w odniesieniu do naszej młodzieży całkowicie nieprzydatne są sterotypowe osądy moralne w rodzaju „młodzież jest cyniczna", „młodzież jest egoistyczna", „młodzież jest bezideowa"*. Zgoda. „Ale po co ta mowa" — zapytam słowami jego bohaterów. Sztuka Kożusznika nie ma nic wspólnego z tak zwanym „problemem współczesnej młodzieży", nie usiłuje nawet odpowiedzieć na którekolwiek z trapiących nas pytań. Kożusznik zaprezentował modną w dwudziestoleciu mieszczańską komedię pomyłek obowiązkowo kończących się dwoma ślubami i kilkakrotnym mdleniem starszej pani. Na kopy takich komedyjek było przed wojną, robiono z nich dziesiątki scenariuszy filmowych, w których oglądaliśmy ciągle mdlejącą Ćwiklińską. Z hrabiny uczynił Kożusznik właścicielkę sklepu, ze „złotej młodzieży" biednych studentów zatrudnionych w spółdzielni „Skrzatek".

Jeśli już jednak Teatr im. Jaracza miał ambicje zrobienia Kożusznikowi prapremiery, czemu nie podszedł do tej sprawy serio? Są w Łodzi dobrzy autorzy piosenek, można było u nich zamówić teksty do sztuki Kożusznika. Prawie wszystkie piosenki napisane przez Kożusznika i Ćwiklińskiego są bardzo złe melodie zaś mało zróżnicowane. Sztuka jest za długa. Współczesna komedia nie ma prawa do czterech aktów, nawet jeśli prezentuje fajerwerk pomysłów, gagów i dowcipów. Niestety, nie jest tak u Kożusznika.

Aktorstwo wydawało mi się dość nierówne. Męskie głosy wypadły, moim zdaniem, o wiele lepiej niż kobiece. W ogóle kobiety grały słabiej poza Leną Wilczyńską, dobrą mimo przerysowania jakie tej postaci nadał autor. Dość średnio wypadł Jerzy Walczak, którego ostatni raz widziałem jako Kordiana. Może dlatego nie mogłem się przyzwyczaić do jego nowego wcielenia i Walczak tańczący i śpiewający wydawał mi się słaby. Dobry to jednak aktor i myślę, że razem z Wilczyńską, Jerzym Szpunarem i Bogusławem Sochnackim stworzyli dość udaną grupę. Na specjalne wyróżnienie zasługuje tylko Bogusław Sochnacki, bardzo uroczy i ujmujący w roli Mietka Olszewskiego.

Najmniej podobała mi się Bożena Darlakówna dlatego chyba, że nie „leży" jej rola małej spryciary; Alicja Zomer wydawała mi się sztywna, a Alicja Krawczykówna była denerwująca, zbyt przesadnie weszła w rolę naiwnej i cielęcej Wiesi. Żałuję, że nie obejrzałem drugiej obsady, w której występuje Jadwiga Siennicka, Magdalena Nowakowska, Alina Jurkowska, Wiesław Ochmański, Bohdan Wróblewski i Józef Łodyński.

Scenografia Bolesława Kamykowskiego pozbawiona była cech oryginalności, przypominała świetlicę przyfabryczną, zaś muzyka Aleksandra Grossa, współtwórcy „Kocha, lubi, szanuje", dość interesująca. Cieszy już sam fakt współpracy między młodym autorem i kompozytorem. Okazuje się, że jednak w Łodzi może dojść do takiej współpracy, ba, znajdzie się teatr, który zechce postawić na debiut. Jeśli nawet był ten debiut niezbyt udany, zyska kolosalne znaczenie społeczne, spowoduje nowe próby, uaktywni tych wszystkich twórców, którzy się już zniechęcili i opadły im ręce. Myślę, że i Jerzy Ćwiklinski okaże się w przyszłości interesującym reżyserem wodewilów, choć tymczasem nie można powiedzieć, aby przebrnął przez wszystkie wertepy tekstu Kożusznika. Po tych wertepach zbytnio szarżują aktorzy, reżyser nie umiał ich pohamować.

Ale skoro już tak jest w Łodzi, że o wystawieniu lub nie wystawieniu sztuki łódzkiego pisarza decyduje nie przemyślana i mądra polityka kulturalna, lecz przypadek, należy pochwalić dyrekcję Teatru im. Jaracza, że zerwała nareszcie z koncepcją „teatru na pustyni", dla którego nie istnieje środowisko pisarskie. Jeśli bowiem są jakieś irracjonalne przyczyny, które każą łódzkim teatrom ryzykować wystawienie złych sztuk, to niechże ponoszą to ryzyko nie na rzecz złej sztuki Lutowskiego czy Sokorskiego, lecz na rzecz jeszcze nie najlepszej sztuki Kożusznika.

Choć najlepiej wystawiać sztuki dobre.

P.S. Podobno w Teatrze Nowym wchodzi w próby sztuka Władysława Orlowskiego, a Teatr im. Jaracza zapowiada prapremierę sztuki Obidniaka. Czyżby więc rzeczywiście koniec „teatru na pustyni"?

Z cyklu: Dzieci

MAKARENKOWCY *na* Andrzeja Struga

(Dokończenie ze str. 1)

tych opowiadań rozgrywa się przeważnie w centrum Łodzi, na Andrzeja 14, w bardzo niepozornym budynku, do którego wchodzi się przez wtłoczone między domy niewielkie podwórko. Mieści się tu jedyna w Łodzi świetlica międzyszkolna. Miejsce, gdzie już szesnasty rok gromadza się dzieci, aby spędzić tu kilka godzin dziennie.

„Świetlica" — słowo, które utraciło przecież swoje pozytywne znaczenie. Słowo, które wymawia się z pewną rezerwą. Był okres, kiedy usuwano wszystkie błędy w pracy świetlic przez... likwidowanie świetlic. Często bez zadania sobie trudu na sprawdzenie jakie są wyniki jej pracy, co się w niej robi, jakie są jej sukcesy. Ta świetlica przetrwała i chyba nawet nie było wielkich zamachów na jej istnienie. Racją wystarczającą była zawsze jej praca.

Przychodzą tu na kilka godzin dziennie dzieci dla których słowo „dom" jest słowem świątecznym. Świetlica im ten dom zastępuje. Tu odrabiają lekcje, zdobywają swoje pierwsze zainteresowania, kształcą je. Tu w końcu otrzymują coś, co chociaż jest niewymierne, znaczy jednak najwięcej: rodzinne ciepło, dobre słowo i odnalezienie swojej dziecięcej jeszcze, ale przecież człowieczej wartości i ważności.

Ta mała, ładna czarnowłosa dziewczynka ma na imię Wanda. Jej ojciec jest filmowcem, pracuje do późnego wieczora, matka z powodu swojej pracy zawodowej również nie zawsze może znaleźć czas na zajęcie się córeczką. Wanda ma osiem lat i chodzi do drugiej klasy. Przychodzi do świetlicy dopiero od września, ale jest już do niej przywiązana i bardzo jej się tu podoba. Po odrobieniu lekcji może potańczyć w czasie zajęć sekcji rytmicznej, wyszyć jakąś serwetkę, nauczyć się wielu ciekawych rzeczy. Jest jej tu dobrze.

Trochę zachrypniętym głosem recytuje Staszka wiersz Brzechwy. Przychodzi tutaj już piąty rok. Jej rodzice rozwiedli się, ojciec zupełnie nie przejawia zainteresowania dzieckiem, matka ciężko pracuje. I Staszka znalazła tu swój dom.

A ten chłopiec został ukarany kiedyś najcięższą ze stosowanych kar — zabroniono mu przychodzenia do świetlicy przez trzy dni. Już na drugi dzień pytał „proszę panią, czy już mogę wejść?" Teraz jest jednym z najlepszych.

Wśród całej góry dokumentów, kronik, recenzji, opinii jakimi mnie zarzuciła kierowniczka świetlicy p. Pawłowska znalazłem opinie rodziców. Wśród sześćdziesięciu nie było ani jednej negatywnej. Pisane są nieraz niewprawnym charakterem pisma, często zdarzają się błędy ortograficzne. Są też takie, które pisali inteligenci. Ale znowu — łączy je jedno:

„Istnienie świetlicy dla moich dzieci jest koniecznością. Ja nie mam słów na wyrażenie kierownictwu podzięki za opiekę nad moimi dziećmi. Nie mam żadnych uwag, z całym zaufaniem oddaję dzieci pod opiekę personelowi świetlicy":

„Nie uważam, żeby można było coś więcej żądać niż tego, co jest w świetlicy".

„Z opowiadań córek wiem, że w świetlicy jest bardzo dobrze i jestem bardzo wdzięczna paniom, które tam pracują, za opiekę nad moim dzieckiem".

„W dobie dzisiejszej kiedy i ja, i mąż pracujemy na zmianę istnienie takiej świetlicy jest wielkim dobrodziejstwem".

Niewiele dodać można do tych ocen. Oceniają przecież ludzie, którzy jak najbardziej wyczulony aparat reagują na krzywdę lub dobro wyświadczone dziecku — rodzice.

Potrzeba by było — bez słowa przesady — całej grubej książki, aby opisać, zrelacjonować istnienie tej niewielkiej przecież placówki, jej piętnastoletniej historii, wielkich osiągnięć, a przede wszystkim bardzo wytrwałej i serdecznej pracy. Pracy z pięknymi wynikami mimo bardzo trudnych warunków. Bo po pierwsze — aż prosi się o inny lokal — z boiskiem, z jasnymi, przestronnymi salami. Bo po drugie — aż prosi się o większe uznanie dla ludzi, którzy tu pracują, o częstsze kwitowanie ich pracy skromnymi wyrazami uznania. Niestety — w tym wszystkim tkwi cały poważny problem. Problem niedoceniania ludzi wysiłku, którego rezultaty tak wyraźnie rzucają się w oczy. Nawet — w co trudno uwierzyć — sami nauczyciele wyrażają się dość pogardliwie o samej instytucji świetlic i o pedagogach w nich zatrudnionych. Zbyt często zamiast „koleżanka" — mówi się „ta świetliczanka", co jest wyrazem niezasłużonego lekceważenia, a zatem zwyczajną niesprawiedliwością.

Cały proces wychowania zaczyna się tutaj od bardzo szczegółowej obserwacji dziecka, wnikliwej analizy jego domowych warunków i od konfrontacji oceny jaką dziecko przynosi ze szkoły, z jego zachowaniem, postępami itd.

Szkoły bardzo często mylą się w swojej ocenie. Personel wychowawczy świetlicy (a trzeba tutaj dodać, że nie istnieje sztywny formalny podział na wychowawców i personel gospodarczy — ten ostatni również przejęty jest „makarenkowską" pasją wychowania), stykając się z dzieckiem w innych niż w szkołach, bardziej rodzinnych stosunkach ma nieraz okazję do pomagania szkole do prostowania krzywdzących czasem dziecko opinii. Niejednokrotnie dziecko traktowane w szkole jako najgorszy członek tej społeczności, odzyskuje tutaj dzięki głębokiemu zainteresowaniu, prawdziwej serdeczności, poczucie swojego znaczenia. Budzi to w nim ambicje, od których już niedaleko do poprawy wyników w nauce i w zachowaniu. W tym świetle jeszcze bardziej dziwne i krzywdzące wydaje się niedocenianie tej pracy. Stan ten ulega zresztą wyraźnej poprawie, o czym świadczy choćby duże zainteresowanie świetlicą, jej władz nadrzędnych — kuratorium i Inspektoratu Oświaty Łódź-Śródmieście.

Rewelacyjne wyniki jakie bardzo często tutaj się uzyskuje są uzależnione od ścisłej współpracy rodziców, szkoły i świetlicy. Zależą też oczywiście od jakości personelu, o wychowanie którego mgr Pawłowska zabiega tak samo energicznie i troskliwie, jak o wychowanie dzieci. Praca w tej placówce niezależna jest przecież od żadnych programów, a jedynie od pomysłowości i inwencji.

W ciągu piętnastu lat istnienia świetlica próbowała bardzo różnych form i metod pracy z dziećmi, stosując je do warunków w jakich egzystuje, do wieku dzieci itp. Obecnie dzieci pracują tu na zasadzie pewnego szablonu wykształconego w czasie tych długoletnich doświadczeń. Po odrobieniu lekcji, po odprężających ćwiczeniach gimnastycznych, rytmicznych i grach ruchowych pracują z wielkim zapałem w wielu kółkach zainteresowań. Ciekawy bardzo wydaje się fakt, że zdaje tu egzamin wiele ogólnie lekceważonych zajęć: a więc i teatr lalek, i kółko sprawnych rąk, gdzie się wyszywa, wycina i lepi, i gazetka ścienna, mająca o dziwo, naprawdę wielką siłę oddziaływania na to młodociane społeczeństwo. Dzieci z kolegium redakcyjnego z wielką powagą obserwują, piętnują, chwalą, piszą nawet wywiady i reportaże, świetnie wczuwają się w identyczne zabawy dorosłych.

Mgr Zofia Pawłowska bardzo bladała nad faktem, że wyczerpuje się powoli jej zapał, energia i entuzjazm. Co do mnie, nie zauważyłem nic podobnego. Dowodem niech będzie fakt, że już w pierwszej godzinie naszej rozmowy zostałem przez nią „zorganizowany" do pracy... Kierowniczka świetlicy międzyszkolnej myśli o zorganizowaniu klubu dla młodzieży tak zwanych „lat pustych" tzn. tej, która po opuszczeniu szkoły w wieku lat czternastu nigdzie nie pracuje, nie uczy się i jest czasem bardzo skłonna do ulegania złym wpływom. Problem jest niewątpliwie doniosły, a projekt zasługuje na jak najdalej idące poparcie. Ale to już temat do następnego artykułu.

MAREK WAWRZEKIEWICZ

Fot. E. Kudaj

MIROSŁAW MIESZCZANKOWSKI

WAWEL — Wawelem *ale* PŁAWNO — Pławnem

W Gidlach nie brak problemów i ludzi, o których warto pisać. Ot, choćby ta siedząca pod murem babcia, która sprzedaje buraki.

— Babciu — mówię — Połączymy Gidle z Pławnem. Dostaniecie tramwaje...

— A łączta... łączta — odpowiada babcia — ino niech się nazywa Gidle.

W Gidlach każdy tak powie: Nie Pławno, a Gidle. W Pławnie znowu powiedzą: Nie Gidle, a Pławno. Łączyć, a jakże, przecież miasto — to wygodne chodniki, jezdnie, i komunikacja — *ino, żeby się nazywało Pławno.*

O sile lokalnego patriotyzmu mieszkańców Gidel i Pławna słyszałem już wcześniej i nie takie rzeczy. Granicy nie ma, granica jest.

Było już zupełnie widno, gdy szedłem z Pławna do Gidel. Wśród parterowych domków prowadziła asfaltowa szosa. I mimo że od kilkunastu minut obserwowałem ponure wieżyce klasztoru stojącego już na ziemi gidelskiej to byłem jeszcze w Pławnie. Potem nic się nie zmieniło. Przy szosie nadal stały domki zaledwie parterowe, za domkami niezmiennie ciągnęły się pola, minąłem jednak malowaną, dwustronną tabliczkę i byłem już w Gidlach. Tabliczka nie stanowi granicy między miejscowościami żyjącymi o miedzę i gdyby nie inne granice, dla których tabliczka stała się niejako symbolem i wykładnikiem, zostałaby zlikwidowana.

Opowiadanie o istniejącym od lat między obu miejscowościami antagonizmie niczego tu nie wyjaśni. Co rodzi ten antagonizm! Jakie są jego przyczyny?

Do trzeciej, najwyżej do czwartej klasy chodzi grupka obserwowanych przeze mnie chłopców.

Nie mają widać w tej chwili nic lepszego do roboty i uganiają się po gidelskim niezbyt doskonałym bruku. Zadaję jakieś retoryczne pytanie dotyczące Pławna. *Pławno miasto, Gidle wieś, Pławno do Gidel przychodzi jeść* — skanduje grupa ilomaś tam głosami i rozbiega się zadowolona z psikusa. Kalambur ten na pewno nie powstał w głowach 11-letnich urwisów. W swoim czasie PPRN w Radomsku wydało polecenie, by Gidle zaopatrywały Pławno w wyroby masarskie (800 kg tygodniowo). To wystarczyło, by narodził się przytoczony dwuwiersz. To, że Gidle zbojkotowały zarządzenie dostarczając do Pławna zamiast ośmiuset, 100 do 200 kg wyrobów masarskich, że wszelkie nadwyżki sprzedawały w okolicznych wsiach, to zupełnie inna sprawa.

PŁAWNO MIASTO — GIDLE WIEŚ...

Otóż to: Gidle to była wieś, Pławno to była osada. Pławno zawsze miało pretensje do tytułu miasta. Rzecz w tym, że podobne pretensje miały Gidle. Tego rodzaju rozdźwięki datują się od Powstania Styczniowego, kiedy to rząd carski za udział pławniaków w tymże powstaniu odebrał osadzie wszelkie prawa i połączył ją z Gidlami — tak przynajmniej przyczynę antagonizmu wyjaśnia Stanisław Łęgowiak, kierownik Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Pławnie; czas wykazał, że to połączenie nie okazało się trwałe. Jakże zresztą mogło być inaczej?

Na samym środku rynku w Pławnie — tuż na wprost gospody — stoi ułożony z kamieni obelisk. W 1941 roku Niemcy zdjęli zeń tabliczkę (dumę osady) przypominającą, że kiedyś nocował w Pławnie Sobieski. W ten sposób fragmenty historii stały się niejako tarczą dla maleńkich lokalnych patriotyzmów. Gidlacy kwestionują historyczną wartość noclegu Sobieskiego. Mówią: w klasztorze Dominikanów w Gidlach istnieją księgi pamiątkowe, w których zanotowano, ile ów król dał złota na klasztor. Czytelnik jednak sam rozumie, że najpoważniejsza jednak ofiara nie umywa się do noclegu.

Inna sprawa, że gdyby Sobieski przewidział, ile kłopotu sprawi swoją wizytą późniejszej administracji państwowej, albo zrezygnowałby z marszu na Wiedeń, albo spędził noc na kontu, omijając troskliwie Pławno i Gidle. Ale nie przewidział...

PAN MIESZKA DALEKO...

Gdy jedna z wysoko postawionych osób w Pławnie zapytałem, dlaczego państwo mimo tych sztucznych barier, nie przekonywujących i śmiesznych, nie połączy obu tych miejscowości, odparła: w zasadzie ma pan rację. Poza tym panu wolno tak mówić. Pan mieszka daleko i po prostu niczym nie ryzykuje. Ale ja...? Pan się śmieje? Mieszkam tu od kilku ładnych lat i pamiętam różne wypadki. W 57 roku zlikwidowano urząd stanu cywilnego w Radomsku i przeniesiono go do Gidel. Pod budynek tej instytucji w Gidlach zajechał wówczas przewodniczący Gromadzkiej Rady Narodowej w Pławnie, załadował akta swojej osady na wóz i rozwiązał zdecydowanie ten nieskomplikowany przecież problem.

Pan się śmieje? Podobne obrazki — proszę mi wierzyć — nie zawsze bywają wesołe. W styczniu 1960 roku przenoszono do Pławna urząd stanu cywilnego w Gidlach. Wykonawcę polecenia PPRN przewodniczącego Gromadzkiej Rady Narodowej w Gidlach poturbowano. Interweniowała milicja i prokuratura.

Na uroczystości, które odbywają się w Gidlach nikt z Pławna za wyjątkiem przewodniczącego Rady Narodowej nie przychodzi. Oczywiście, jestem za połączeniem tych miejscowości, orientuję się ile na podobnym połączeniu mogłyby zyskać w sensie gospodarczym i Gidle i Pławno. Ale...

* * *

Państwowe — przepraszam gidelskie przedsiębiorstwo — w Pławnie i Gidlach. Przedsiębiorstwa są pławieńskie, albo gidelskie. Otóż Gidelskie Przedsiębiorstwo Maszyn Rolniczych zatrudnia około 300 pracowników. Spółdzielnia Metalowo-Drzewna im. Rewolucji 1905 r. około 300. Nie wykluczone, że do Gidel przeniesiony zostanie Ośrodek Zdrowia. W Gidlach buduje się nową fabrykę, która zatrudni około 600 osób. Całe Pławno niewiele więcej posiada mieszkańców.

Dlaczego o tym piszę? Na jednej z sesji w powiecie przedstawiciel RN Pławna zażądał wręcz, by w oficjalnych pismach Pławno nazywano miastem. Nie piszę o tym dlatego, by podbudować moralnie mieszkańców Gidel — zresztą w Gidlach spędziłem tyleż samo czasu co w Pławnie, i nie łączy mnie z nimi większa niż z Pławnem sympatia. Chcę tylko przy okazji powiedzieć, że niełatwe życie miał przedstawiciel Gidel, który podobnego żądania nie postawił.

Tak więc walka o nic trwa mimo, że w wypadku połączenia obu miejscowości szanse ich rozwoju są bardzo poważne.

Walka o nic trwać będzie jeszcze długo. Mimo, że nie brak w Pławnie i Gidlach ludzi rozsądnych.

— Mówią oni: „Dziś nie istnieje już problem połączenia tych miejscowości. Połączą się one samorzutnie, wcześniej czy później. Trzeba tylko gwoli zachowania pokoju zastanowić się nad nazwą, dla przyszłego „miasta". Może i tak. Mieczysław Strzębski i Stefan Załędzki mieszkają tu od dawna i znają miejscową problematykę, jak rzadko kto.

Równie dobrze poinformowani długoletni mieszkańcy tych terenów opowiadali mi na zakończenie taką autentyczną anegdotkę. „Ukradli Niemcy w czasie drugiej wojny światowej ze skromnego pławiańskiego kościoła obraz — dzieło sztuki. Po wojnie obraz wrócił już nie do maleńkiego kościoła w Pławnie, ale poważnego klasztoru w Gidlach. Rozkiekotały się maszyny do pisania w Powiatowej i Gromadzkiej Radzie Narodowej. Przypomnieli sobie pławniacy, że obraz stanowi dzieło sztuki. Pisma w tej sprawie zaalarmowały instytucje kulturalne wszystkich szczebli. Wreszcie zainteresowało Ministerstwo Kultury. Przysłano ekipę konserwatorów i ekspertów. W rezultacie... obraz przeniesiono na Wawel. Lawina listów nie ustała — my rozumiemy — twierdzili pławniacy, że dzieło sztuki, że tradycje, że Wawel. Niemniej „Wawel Wawelem, ale Pławno Pławnem".

I cóż tu komentować?...

Dlaczego odszedł CHORĄŻAK?

(Dokończenie ze str. 2)

niektórzy z nich mniej się tym przejmują niż ja.

Stary urzędnik, którego odwiedziłem, uśmiechnął się z politowaniem i pobłażliwie, z przyjaźnią nacechowaną górną granicą serdeczności. Spoglądał mi ufnie w oczy. Był uprzejmy, głęboko ludzki, wyrozumiały, tchnęło od niego głęboką kulturą duchową, rzeczowym światopoglądem i bystrą, acz z lekka przyćmioną przez wiek inteligencją. Od stóp do głów wypełniony był dobrą wolą, która to wola gładko się z niego wylewała, krzep-

nąc natychmiast w miękki dywan dobrych intencji.

Reporterowi dobre intencje jednak nie wystarczają i dlatego udał się do robotnika.

Dowiedział się tam, że dekarze już dwukrotnie wygrywali proces sądowy przeciwko MZBM, a ostatnio za rok 1960 sprawa oparła się o Komisję Rozjemczą.

Otóż w innych przedsiębiorstwach tego samego typu od lat płacono dekarzom po 60 groszy za jeden metr kwadratowy smołowania i po 70 groszy za drobną naprawę dachu. W praktyce wygląda to w ten sposób, że nie smoluje się dachu bez drobnych napraw i nie robi drobnych napraw, ażeby i przy tym jednocześnie nie smołować. W pozostałych dzielnicach miasta dekarze otrzymują po 130 groszy za

jeden metr kwadratowy. Tylko Śródmieście uparło się płacić według taryfikatora zwanego popularnie „widzimisię". Zaskarżone do sądu długo i rozpaczliwie broniło się przed dekarzami. W konsekwencji proces trwał trzy lata, a koszty sądowe i odsetki za 1957 i 1958 rok wyniosły ponad 200 tys. zł, przekraczając dwukrotnie sumę, o którą toczyła się rozprawa. Pieniactwo zostało jednak podwójnie ukarane, dekarzom trzeba było wypłacić pieniądze i jednocześnie Bank Inwestycyjny wstrzymał kredyty. Tak więc w listopadzie 1960 roku dekarze otrzymali zasądzoną gotówkę i wówczas zabrakło pieniędzy na premię dla pracowników umysłowych. Nie trzeba dodawać, że wywołało to fale protestów i oburzenia pod adresem dekarzy.

I jeszcze jedna uwaga: dekarze, którzy sprzątnęli urzędnikom świąteczną premię, już od dawna nie byli pracownikami MZBM, co nie przeszkadzało jednak skierować niechęci pracowników umysłowych na grupę dekarzy aktualnie w przedsiębiorstwie zatrudnionych, którzy również już zdążyli wystąpić z podobnymi co ich poprzednicy roszczeniami w stosunku do dyrekcji.

W tej sytuacji życie dekarzy pracujących w przedsiębiorstwie nie należy do przyjemnych.

I tak oto doszliśmy do sedna zagadnienia: oddział robotników najbardziej uświadomionych i stanowczo walczących o swe interesy, okrzyknięty został jako najbardziej buńczuczny, rozrabiacki, podrywający z premedytacją autorytet moralny instytucji narażającej ją także na straty natury ekonomicznej.

Przewodnicząca Rady Zakładowej skwitowała to następującą formułą: „Dekarze to najbardziej egoistyczna grupa pracowników, odrywająca kęsy chleba od ust innym grupom".

— Dobrze, załóżmy, że się z towarzyszką zgadzam — odpowiedziałem, ale przecież sąd wysłuchał uważnie argumentacji obu stron i po wnikliwej analizie tego skomplikowanego zagadnienia rozstrzygnął sprawę na korzyść dekarzy. Czyżby stawiając interesy pracowników przed interesami przedsiębiorstwa nie postępował słusznie?" Pytanie to zostało bez odpowiedzi. Otrzymałem natomiast inną odpowiedź: „Dekarze wygrali, ponieważ ich adwokat zapędził naszego adwokata w „kozi róg".

Przewodnicząca Rady Zakładowej wypowiedziała te słowa z żalem. I ten żal mnie przeraził.

Tymczasem Chorążak zdał narzędzia swej pracy i mocno po męsku uścisnął ręce kolegom, którzy pozostali.

KAROL BADZIAK

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

bal maturalny

3)

Potem znalazłem się w innym nie oświetlonym pokoju, zdaje się, w sypialni pani domu. W rogu chybotał ognik wielkości płomyka zapałki, tylko że amarantowy.

Mietek i jakiś rudzielec kopnęli się za szafę i znów z kieliszków wejrzały kolory. Otwieram oczy, jak mogę najszerzej. Ma mi to pomóc w widzeniu tego, co dzieje się dookoła stołu.

Frania ma już też dosyć. Przed pół godziną buzia w ciup i chustka przy powiekach, a teraz oczy jej się świecą i co chwila rozburza włosy swego sąsiada, który z gogusiowatą cierpliwością wciąż zaczesuje je z powrotem...

Przed Ewą nietknięty kieliszek. Siedzi naburmuszona bawi się ugniataniem z chleba idiotycznych kuleczek. Święta, psiakrew! Poczułem raptowny przypływ złości za tamto i w ogóle.

— Cóż ta lala malowana, siedzi, jakby siedem wsi podpaliła! — zwracam się do Holoferesa umyślnie głośno, a zdaje się, że również wskazuję palcem w jej stronę.

— Martwi się, panie kolego — słyszę z początku jakby z oddali i raptownie tuż przy samym uchu. — Brata wzięli, a teraz ta hissoria z ojcem. Rak — paskudna sprawa. Nie chciał jej mówić przed maturą. I dopiero teraz. Miała dziś w ogóle nie przyjeżdżać, ale że to pożegnanie, koleżanki, i trochę do nas przywiązana.. Prochu chyba nie wymyśli, ale to dobre...

Nie dosłyszałem, bo znów zaczęli śpiewać:

O północy się zjawili
Jacyś dwaj cywili.
Włosy jak badyli...

— Lepiej tego nie śpiewajcie, panowie — odezwał się milczący od dłuższego czasu dyrektor. — To nie jest klawa piosenka — uśmiechnął się jakby z zażenowaniem. Po tem jeszcze coś mówił, wyraźał nadzieję, życzył, wspominał, że jak był uczniem w zaborze rosyjskim, to...

W rogu chybotał amarantowy płomyk wielkości płomyka od zapałki. W jego świetle chwiała się rytmicznie amarantowa część policzka pani Zofii i kawałek nosa Ewy. Wyglądało to tak, jakby policzek i nos tańczyły jakieś powolne tango. Nie za uważyły mnie i rozmawiały dalej:

— Zajmiesz się nim, a lekarze się nieraz mylą. Sama znałam taki wypadek... A jak tam z tym twoim Sławkiem?

— Skończone na amen. Przyszedł raz w takim stanie, że ...no, jak świnia, z przeproszeniem pani profesorki. I chciał koniecznie już teraz zaraz... rozumie mnie pani... A ja nie chcę być taka ostatnia i jeszcze z pijanym. A on dawniej wcale nie pił albo też mówił, że nie pije... Więc mu to mówię. A on się do bicia... i z takimi słowami, że nie można powtórzyć. Więc ja mu też dałam w mordę... o przepraszam. A na odchodnym powiedział, że go popamiętam. Podobnież przylatywał i dzisiaj, kiedy jeszcze nie wróciłam od ojca. Nie chcę. No i teraz nie myśleć mi o takich tam głupstwach.

Ktoś tu jest! A to pan, panie profesorze — ona zawsze to „panie profesorze", a akcentuje z takim przyciskiem, jak by mi się ten tytuł nie należał. — Jak pan się bawi? A co Danka porabia? Nie dotrzymuje jej pan towarzystwa?

Poczułem, że jestem bardzo trzeźwy i bardzo zagniewany, i że trzeba być stanowczym i natychmiast, zabrać Dankę do domu.

Byłem pewny, że kiedy tam wejdę i każę jej ubrać się natychmiast, będzie tańczyła z Cześkiem. Ale nie. Prosi ją do walczyka Holofernes. Danka z gracją zrzuca z ramion swój włóczkowy szal i podnosząc na niego swe duże bure oczy nuci:

Kornblumenblau! Sind die Augen der Frauen beim Weinen.

— Fe, pani Danko! W tym języku...

Wyraźnie jest zaskoczona moim wybuchem. Bez sprzeciwu zgarnia z fotela szal i ruchem pedentycznej gospodyni składa go w kwadrat. Wysuwamy się po angielsku, chociaż nikt o tej porze nie wyściubi nosa na ulicę. Jest druga w nocy. Danka ociera się o mnie po kociemu.

— Jesteś dziś niemożliwy — mówi ni to z wyrzutem ni przepraszająco.

Klatka schodowa jest obszerna. Przez uchylone drzwi pada ukośnie smuga światła, rozświetla pierwsze podesty, kóre w ten sposób wiszą nad ciemnością jak fantastyczny mostek kapitański. Obraz raptownie się zmienia. Od dołu ku nam sunie światło, dwa światła.

— Gasić lampy! Kłaść się!

Po schodach pną się z nieludzkim rykiem jacyś dwaj mężczyźni. Kolnierze postawione na sztorc odsłaniają tylko niewielki trójkąt twarzy. Zresztą twarze obwiązane po oczy ręcznikami. W rękach latarki i rewolwery. Na brzuchu tego drugiego grzechoczę pistolet maszynowy. Maskarada czy co? Kto się tak wygłupia?

— Gasić lampy! Kłaść się!

Trudno nawet ten ryk zrozumieć. Wydobywa się ze ściśniętej jakby umyślnie krtani.

Wpycham Dankę z powrotem do pokoju, który przedzierżgnął się w Tworki. Ktoś krzyczy. Ktoś z przechyloną do tyłu głową tłucze tępo rękoma powietrze. Otwarte okno. Ktoś daje kangurzy sus na parapet. Ktoś — czy to nie ta panna, co pracuje w aptece? — trzyma go za nogi i woła, że to nic, bo dom obstawiony przez gestapo. Chwytam Dankę wpół i usiłuję wepchnąć ją do szafy, ale Danka staje się, psiakrew, heroiczna, wyrwała się i mnie wpycha z kolei. Zmagamy się, zupełnie walka szwajcarska.

Na ułamek sekundy przed zgaśnięciem światła widzę, jak Czesiek i Mietek czają się z rękami w kieszeniach przy oddrzwiach. Rysy twarzy tak ostre, że można by drzewo piłować.

— Kłaść się! Kłaść się!

Drab staje w drzwiach. I oto Czesiek i Mietek niespiesznie i prawie spokojnie układają się pod progiem. Pokój zdaje się błyskawicznie spłaszczać i tracić trzeci wymiar. Przed patefonem leży dyrektor w klasycznej pozie „pudnij". Do jego pleców przyrasta ptasia głowa Holofernesa. Pod jego pachę niby ogromny czerwony krab wpełza koafiura pani Zofii-Geografki. Przy szafie Danka i ja, ja z ręką zaciśniętą na nodze od krzesła. Nad podłogą kołysza się białe noże światła ręcznych latarek.

Pierwszy drab omija leżących. Trzyma w ręku coś długiego, kołyszącego się. Poddziera do góry czyjąś głowę, zdaje się. Zdzisi. Puszcza, przechodzi dalej.

Drugi uplasował się w drzwiach. Ruchy jego pistoletu przypominają wahadłowe kołysanie się trąby słonia, wysadzonej przez pręty klatki. Nie zwraca uwagi na Cześka i Mietka, którzy leżą tuż u jego stóp.

— Miglanc! Wolnego! — warczy teraz ironicznie, bo pierwszy podparł z kolei głowę Danki, a krzesło w moim ręku zachwiało się i zaczyna zataczać niezdarny łuk.

Pierwszy balansuje teraz po środku pokoju.

— Jest! — woła z triumfem, nasadzając na kogoś stożek światła. Ten od drzwi ryczy. Teraz, kiedy padą dużo słów, zapamiętuję dziwną właściwość tego głosu. Nie drewniany, skrzypiący, metaliczny raczej, ale wcale nie dźwięczny, metaliczny, ale jakby zardzewiały.

— Kurwo niemiecka! W bajzlu u szkopów siedzieć, a nie polską maturę zdawać. Myślałaś, że nikt nie wie o twym łajdaczeniu! Do ciebie, mówię! Nie oglądaj się i nie rób głupiej! Zdejmuj majtki! Noo! Jazda!

Głos Ewy, odmieniony, brzydki. Zupełnie głos sparaliżowanej przekupy:

— Panowie, to jakaś omyłka! Przy... przysięgam! Ależ panowie! Ależ panowie! Puuuść pan! Noo!

— W dupę ją! — rozkazał głos od drzwi.

Podłoga w ataku konwulsji. Tułowia się unoszą, jakby chciały wzlecieć na płask i atakować z powietrza.

— Panowie! Tak nie można! Jakim prawem! Pomyłka! Jako dyrektor..

— Spokój tam! Nerwy w kubeł!

Trąba automatu wykonuje miarowe ruchy z niezwykłą szybkością. W ułamku sekundy odgina się w stronę każdego z nas. Podłoga jest znów niemal zupełnie płaska tylko pośrodku jakieś pionowe szamotania.

Kącikiem oczu dostrzegam parę dziwnie długich łodyg w ciemnych fildekosach. Powyżej ich złącza jakby dwuczęściowa plama wypukłej bieli.

Plama zabawnie drży i jakby się przypłaszcza.

— Panie! Pomył.., Jezus!

Zamaszyste, lepkie klaśnięcie. Plama wykonuje śmieszny podskok i już nie jest monolitem bieli.

— W dupę ją!

— Panie złoty! Lito... Tatusiu!

— W dupę ją! W dupę ją!

Biel bez przerwy podskakuje, zamieniając się szybko jakby w pasiasty sztandar Stanów Zjednoczonych.

— Starczy! Przepraszamy państwa za przerwę w zabawie. Mieliśmy, jak państwo już wiedzą, maleńki interesik do pani maturzystki. Przez trzy minuty nie wstawać i nie wszczynać alarmu, bo będzie z wami źle! Życzymy państwu profesorstwu, i tej pani, wesołej zabawy. Do zobaczenia!

Wstajemy z wolna, oglądając się ostrożnie i jakby z respektem w stronę drzwi. Staramy się dyskretnie nie patrzec na Ewę, która coś tam poprawia, a potem podrywa się i ciężko zamiatając nogami podłogę wybiega do tamtego ciemnego pokoju. Za nią biegnie pani Zofia. Milczymy i jakby chcąc przedłużyć owo ogólne milczenie, otrzepujemy z niemałą pedanterią garderobę z dostrzegalnego i niedostrzegalnego kurzu. Danka oparła mi rękę na ramieniu. W pierwszej chwili nie sprawia mi to tej przyjemności, co zazwyczaj. Ale pewną satysfakcję — tak... Już milczenie przerwane, bo ktoś zaczyna mówić nadając głosowi przesadny spokój, o podobnym wtargnięciu z bronią do czyjegoś mieszkania. Była to oczywista pomyłka, sprawę natychmiast wyjaśniono i nastąpiły przeprosiny. Skończyło się nawet dość wesoło... A u jednej tam, co się też puszczała z okupantem, zjawiło się dwóch elegenckich panów. Mówili świetnie po niemiecku. Zatrzasnęli za sobą drzwi, a potem ostrzygli ją na zero, coś tam u niej zalakowali, i na tym czymś przybili pieczęcie.

Umiarkowany śmiech.

Z drzwi obok wyjrzała nieco w tym oświetleniu meduzowata głowa pani domu i wywołała dyrektora.

Ktoś zwrócił uwagę, że określenie „też się puszczała" — jest nie na miejscu, gdyż to, co się stało przed chwilą, jest niewątpliwie pomyłką.

Ktoś inny — czy nie Holofernes? — przytaknął, nawet bardzo skwapliwie, po czym znów zapadło milczenie.

Czesiek i Mietek stali w dalszym ciągu pod drzwiami. Sprawiali wrażenie zakłopotanych i nie wykazywali chęci podejścia do nas.

Przy trzasku drzwi drgnąłem. Pierwszy wszedł dyrektor, potem pani Zofia. Prowadziła Ewę pod rękę w taki sposób, jak się prowadzi kogoś do ślubu. Ewa stanęła przy ścianie, sztywno, z odrzuconymi do tyłu ramionami... Tak — odrzuconymi. Jak ktoś, kto staje na baczność albo ma ręce przytroczone do ściany. Oczy miała prawie suche, tylko na policzkach spod grubej warstewki pudru przeświecała wzburzona czerwień.

— Kochana Ewuniu i ty, kochana młodzieży! — zaczął dyrektor stanąwszy do niej przodem, a do nas tyłem, jakby zdawał komuś raport przed frontem żołnierzy.

I dalej w tym guście, że „obdarzaliśmy ciebie zaufaniem i tego zaufania, mimo tej — jak się wyraził — nieszczęsnej historii nie cofamy. To, co ci się wydarzyło przed chwilą, było nieporozumieniem naszych mrocznych czasów. W wolnym kraju musi być ono wyświetlone i winni surowo ukarani. Bo honor jest sprawą sumienia, a więc kategorią wewnętrzną (paradne, co on może wiedzieć o kategoriach!) przez to nie może być mechanicznymi środkami odebrany. Że Ewa (irytujące są te staroświeckie zagrywki) jest jeszcze młodziutka jak kwiatuszek, więc o tym koszmarze z pewnością zapomni. Oby szybko! I my również przyrzekamy, że zapomnimy!"

I tak dalej i dalej. Rozgłędził się. A potem poderwał niemal przemocą jej rękę, którą akurat przesuwała nieznacznie do tyłu, w kierunku bolącego miejsca. Ucisnął możliwie najsilniej. Po nim grono, a po mnie jej koleżanki i koledzy.

Podając jej rękę, staraliśmy się patrzeć w bok.

Dyrektor nie pozwolił Ewie odejść do tamtego pokoju i zarządził gry towarzyskie. Ponieważ rzucanie chusteczki z obowiązkiem wymyślenia rymów nie szło, pani Zofia, zaproponowała „pomidora". Zadawanie głupawych pytań miało się zacząć od Ewy. Ale nikt nie chciał być zadawaczem. Holofernes też się wymówił. A Fizyk nie ma o tego rodzaju grach pojęcia.

— To może pani, pani Danuto? Prosimy.

Danka była wściekła, ale nie znalazła sposobu, żeby się wymówić.

— Co pani ma na czole? — spytała, zerkając porozumiewawczo na nasze grono.

— Pomidor.

— Ach, pani ma na czole pomidor? — zdziwiła się śmiesznie Danka. — A co pani ma z tyłu?

Przytłumione parsknięcie z tej i tamtej strony.

Ewa zerwała się nagle i wybiegła. Pani Zofia w te pędy za nią. Dyrektor spojrzał na nas swymi prawie że białymi i trochę jakby przezroczystymi oczyma, otworzył usta, ale nic nie powiedział. Zgarbił się, spuścił głowę. Może zamyślił się, a może nawet zdrzemnął.

Zaczęliśmy skwapliwie spoglądać na zegarki. Było już po czwartej. Spod ferdenklungu przezierała pierwsza pastelowa szarość.

Wysuwaliśmy się kolejno, jak nas tego nauczyło długoletnie przyzwyczajenie, ale możliwie szybko.

W każdej chwili mogła przecież Geografka znowu wyprowadzić do nas z sąsiedniego pokoju t a m t ą.

Danka trzyma mnie pod rękę. Czesiek z Mietkiem podążają w niewielkiej odległości za nami. Są nadal, jak to się teraz mówi, „zdeprymowani".

— Patrz, jaki dziwny księżyc! — Danka wskazuje ręką.

Ale księżyc był zupełnie pospolity, raczej nieładny.

☆

Fragment z książki „Rodzina Jednorożców", która niebawem ukaże się nakładem Wyd. Łódzkiego.

TELEwizja

Lato, lato...

Nadchodzi lato, a wraz z nim zimne ciarki poczynają nam biegać po grzbiecie — no bo nawet jeżeli ktoś i wyjedzie na miesięczny urlop, toć przecież wróci jeszcze w pełni sezonu do domku i miłego telewizora. A co w nim zobaczy? Jeszcze nie wiadomo, a przynajmniej nie do końca wiadomo — ma być, w każdym bądź razie, lepiej niż przed rokiem.

Przed rokiem zaś — dobrze to pamiętamy — było gorzej niż źle, było fatalnie. Sezon ogórkowy w telewizji rozhuśtał — i to też pamiętamy — wysoką falę krytyki: kto żyw pisał o telewizji same najgorsze wyrazy, a czytelnik i telewidz w jednej osobie przyklaskiwał z największym zapałem.

Nie do końca było to może winą samej telewizji i sa[illegible]ych realizatorów — w ubiegłorocznym sezonie letnim poczyniono bowiem pewne cięcia budżetowe, na pewno słuszne w sensie ogólnonarodowego oszczędzania, ale też zarazem i zbyt może drastyczne. Że w obliczu tych cięć autorzy programu poszli na łatwiznę, że wypełniali go zupełną już jałowizną, a przyzna mi każdy, że choć pewne pozycje muszą kosztować, to inne — najgorsze — można zmontować za psie pieniądze — to już inna sprawa, skrupulatnie zresztą swego czasu przewentylowana.

Jak już jednak powiedzieliśmy w tym roku — sądząc chociażby z planów ośrodka łódzkiego — powinno być znacznie lepiej. Szykuje on kilka pozycji Teatru Telewizji (Choromański), szykuje własne „Kobry" (w Łodzi powstała nowa spółka autorska, niestety nie wolno nam zdradzić nazwisk), szykuje kilka innych pozycji. Miejmy tedy nadzieję, wierzmy że będzie lepiej.

Gribojedow pisał kiedyś: „Szczęśliwy ten kto wierzy przytulnie mu na świecie...".

...i wczesne ogórki

Estrada telewizyjna leci na łeb! Oczekiwany z niecierpliwością przez wierne rzesze miłośników „Kabaret Starszych Panów" w programie pt. „Zielony karnawał" zawiódł nadzieje. Poniedziałkowa audycja według tekstów Sławomira Mrożka pt. „Z opowiadań wuja" stała się okazją od porównań z pewnym gatunkiem pszennego pieczywa, na którą to nazwę zasłużył sobie już w pełni krakowski kabaret prezentujący się również w minionym tygodniu.

Publicystyka telewizyjna tygodników kulturalnych nie dostrzegła jeszcze widać tego zjawiska regresu w dziedzinie telewizyjnej estrady, który wróży rychły sezon ogórkowy. To w sensie czasu, ale pozostaje jeszcze sfera tematyczna w której operują autorzy widowisk.

A więc co do gatunku prezentowanego przez „Kabaret Starszych Panów" — jesteśmy zgodni. Humor abstrakcyjny, intelektualny, dla określonej grupy wyrobionych widzów. Groteska, parodia zręczna, aluzyjna, wykwintna. Oczywiście nawet najbardziej udane i pamiętne audycje kabaretu powodowały listy z obelgami do telewizji, ale tym przejmować się nie należy, bo jak wiadomo nie ma w tym kraju obowiązku oglądania telewizji, a sen jest zdrowym wypoczynkiem, którego tak brakuje pewnym ludziom.

Kalina Jędrusik

Ostatnia premiera mająca w swym afiszu najprzedniejsze (i wciąż te same) nazwiska telewizyjnej estrady, premiera zapowiadana i odkładana w ostatniej chwili oczekiwana była ze zdenerwowaniem i w napięciu zupełnie wysokim. Niestety. Rozczarowanie było równie wielkie. Jakie powody! Ba gdybyśmy się ośmielali podpowiadać je Jeremiemu Przyborze i Jerzemu Wasowskiemu!. Że tempo spektaklu było pogrzebowe, że właściwie ani jedna piosenka nie miała rangi sławetnych „Pomidorów", a przecież w programie poprzednim i poprzednich było ich na kopy, że wspomnimy tylko „Tkacza" („Matka tka, i tatka tka i tkaczka czka i też tam tka!"). Że postacie zostały narysowane w sposób bardzo różny od Ireny Kwiatkowskiej — doktorowej Praszczatkowej — która stworzyła kreację niemal wstrząsającą w ponurej i jednocześnie (sic!) groteskowej roli do takich szczątków jakie przypadły bardzo ślicznie wydekoltowanej Kalinie Jędrusik. Pani Kalinie pozwolono niestety podtrzymywać spadającą z biustu koronkę, nie pozwolono natomiast nic zaśpiewać, w każdym razie nic takiego co byśmy zapamiętali na dłużej. Prócz tego niezapomnianego szamotania się z odzieniem.

Wiesław Gołas był całkiem goły jeśli nie liczyć tych rękawic bokserskich i peleryny, a kiedy go rozśmieszano był nawet śmieszny. Michnikowski zawsze potrafi zrobić coś nawet z takiej roli jaką tu dostał. Ale przecież szkoda Michnikowskiego. Oszczędzamy prąd w szczytach, dlaczego nie oszczędzamy świetnych aktorów? Można by ich sobie zaoszczędzić w PKO na później do lepszego programu.

Starsi panowie byli równie zażenowani jak widzowie i to się im chwali, ponieważ zawsze ścisła więź z widownią jest rzeczą zalecaną przez krytyków. Tłumaczyli się nawet, że wiek, „i kondycja nie ta", powodują małą rotację premier. Poza tym byli mili, sympatyczni, trochę ponudzili się i nas, ale w końcu wybaczamy im to. Kredyt zaufania mają bowiem otwarty jeszcze na co najmniej trzy takie programy jak ostatni. Zaskarbili sobie wcześniej nasze serca. Tyle o tym kabarecie. **Mrożek** jest dobry do czytania. Jego teksty nie ilustrowane postaciami Polaków w kierezyjach i czapkach z piórem są dość smutne a przynajmniej zupełnie nie estradowe. Nie uratował ich nawet Siemion. Bo dla Siemiona trzeba stworzyć postać o zupełnie jasno określonej osobowości, charakterze, psychice. Niewielu to potrafi. Potrafił Babel i Galczyński. Audycja była nudna i nieco żenująca, co jest znów smutne bo przecież Mrożka wszyscy lubimy i wysoko cenimy. Telewizja ma jednak swoje prawa a niestety łamanie praw kończy się dla odważnych w sposób przykry.

Kabaret „Jama Michalikowa" chronologicznie i do wiersza przedstawił nam wszystkie fakty z historii Polski robiąc po drodze jakieś bliżej nieokreślone dowcipy. Wszystko pod znane melodie. Leszek Skrzydło z „Pstrąga" przysięga, że w progamie było dowcipnych jedno, do dwóch miejsc. Ale nie pamięta które. My też.

Estrado telewizyjna! Jedź już na wakacje! **X**

Marylin Monroe gra w filmie „Słomiany wdowiec" rolę modelki telewizyjnej.

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4,—, kwartalnie zł 12,— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17 ◇ Zam. 1544 V. L 13

Dzieci tańczą przed kamerą

W ubiegły piątek w ramach Interwizji (przy czym dodać wypada, że program szedł na Związek Radziecki) oglądaliśmy z Warszawy program baletowy, a raczej chyba baletowo-wokalny zatytułowany „Jedzie, jedzie wóz cyrkowy".

Tańczyły dzieci z zespołu „Piruet", śpiewały dzieci z zespołu „Wiolinek" — że robiły to z wdziękiem i z nienajgorszą już przecież techniką, że układy były na ogół pomysłowe, a piosenki na ogół niezłe, więc też rzecz mogła się chyba podobać nie tylko młodzieżowemu, lecz również i dorosłemu odbiorcy.

Cośmy ponawypisywali na temat tańca, tośmy ponawypisywali — zresztą w myśl starej maksymy, że „powtórzyć swoje zdanie 100 a 101 razy to wielka różnica" — i tu proszę: dzieci tańczą przed kamerą. Dorośli mogą poczekać, wiadomo przecież z przykładu Ułanowej, że forma tancerza trwa długie, długie lata...

Wreszcie pokazano nam przecież przy kilku okazjach paru wybitniejszych solistów (tylko nie przypominamy sobie Bittnerówny i jeszcze kilkunastu nazwisk), a że nie zdecydowano się nawet na porządną retransmisję z jednej czy drugiej Opery, że nie spróbowano przenieść do studia przynajmniej paru bardziej kameralnych układów z jubileuszu Wójcikowskiego (stara historia, ale rzecz wciąż bodaj aktualna) — to drobiazg. Dzieci nas wyręczą.

Przeto pocieszajmy się — kolejne zdjęcie rodem z Francji.

Co piszą inni

Żale sportowców

Podobnie jak my, „Przegląd Sportowy" w artykule „Druga porażka na trasie W—B—P" zgłasza szereg zasadniczych pretensji pod adresem telewizyjnej obsługi wielkiego wyścigu.

Pamiętamy jak przed kilku laty — czytamy — nasza TV szczyciła się innowacją, polegającą na wprowadzeniu wizji z helikoptera. Niemcy i Czechosłowacy byli wówczas za nami w tyle. W tym roku my cofnęliśmy się o krok — nie było w Polsce kamery nad kolarzami, natomiast w NRD i Czechosłowacji, widzieliśmy peleton z góry i... z przodu, dzięki kamerze na samochodzie. A więc u nas o krok w tył, u nich krok w przód".

W dalszym ciągu artykułu autor porusza sprawę natury ogólniejszej — otóż okazało się, że telewidzowie Warszawy widzieli tylko dwa króciutkie fragmenty pierwszego etapu a to na skutek porozumienia z organizatorami, którym chodziło o sprzedanie pełnej puli biletów na stadion.

„Ale czy tego drażliwego problemu nie można było w tym wypadku załatwić inaczej? Właśnie w tym konkretnym wypadku można było się zdobyć na jasne postawienie sprawy: TV ogłasza, że etap warszawski transmituje na kraj i zagranicę w całości, natomiast na Warszawę da tylko fragmenty, chyba że stadion będzie wyprzedany np. w 99 czy 100 procentach..."

Szantażowe postawienie sprawy nie zadowala jednak autora.

„Ale i ten projekt nie rozwiąże generalnie problemu: Sport i Telewizja. Sport bowiem musi z czegoś żyć, musi mieć zapewnioną frekwencję na trybunach. Telewizja zaś musi uwzględniać szerokie zapotrzebowanie na transmisje sportowe. Dotychczasowe rozwiązania nie dają stronom ani satysfakcji moralnej (TV) ani finansowej (Sport). Problem jak się zdaje wymaga ponownego rozważenia".

I rzeczywiście.

Prorok

Tadeusz Domaniewski prowadzący w „Przeglądzie Kulturalnym" rzecz o telewizji pod tytułem „Skrzynka białego człowieka" (dlaczego białego?) w numerze z 18 maja snuł następujące prognozy programowe:

CZWARTEK: Cztery godziny z groszami programu, z czego dziesięć minut do oglądania — Polska Kronika Filmowa. Bo przecież nie „Kobra", przecież nie młodzieżowy program publicystyczny z Łodzi, mający ustalony już poziomik mniej niż młodzieżowy. Czeka u nas coraz świeższe.

Należy wyjaśnić, że autorowi chodziło o program „Niespokojni", który chwaliliśmy przed tygodniem; my i nie tylko my. Jak to jednak trudno być prorokiem!

PROGRAM na najbliższe dni

1. VI. 61 — CZWARTEK

10.20 „Piątka z wyspy skarbów" film fab. prod. angielskiej (Warszawa)
12.10 Recital fortepianowy (W)
12.30 Film fab. prod. polskiej „Manewry miłosne" (W)
14.00 Teatrzyk dla przedszkolaków. „Zapraszamy wszystkie dzieci" widowisko Anny Chodorowskiej (W)
14.30 Film z serii Disneyland „Król zwierząt" (W)
15.20 Miś z okienka (W)
15.35 Występ zespołu pieśni i tańca „Dzieci Płocka" (W)
16.35 Dziecięcy dziennik telewizyjny (W)
16.50 Film dla dzieci (W)
17.00 Sprawozdanie z meczu piłki nożnej o mistrzostwo II ligi „Gwardia" (Warszawa) Śląsk (Wrocław) (W)
18.45 PKF (W)
18.55 Tele-Echo (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.00 „Prof. Grock odchodzi" film fab prod. angielskiej (Warszawa)
21.40 Wiadomości sportowe (W)

2. VI. 61 — PIĄTEK

18.10 Program dnia (Ł) lok.
18.15 Program dla dzieci (Zrobimy to sami) (W)
18.25 Wszystkie dni tygodnia (Ł) lok.
18.35 Wszechnica TV z cyklu „Historie z tej ziemi" program pt. „Uwaga zły pies" (Warszawa)
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.00 Popis dyplomowy Wydziału Aktorskiego PWST im. A. Zelwerowicza (W)
22.15 Ostatnie wiadomości (W)

3. VI. 61 — SOBOTA

17.25 Program dnia (Ł) lok.
17.30 „Dzieci i kaczuszki" film dla dzieci (W)
18.00 Sprawozdanie z Międzynarodowych Zawodów Hippicznych w Warszawie (W)
19.30 Dziennik telewizyjny (W)
20.00 Program muzyczny (W)
20.30 Film fab. prod. polskiej „Walet pikowy" (Ł) lok.
22.15 Ostatnie wiadomości (W)
22.20 „W sprawie przekwalifikowania" — program rozrywkowy (W)

4. VI. 61 — NIEDZIELA

10.30 Manifestacja na Górze Anny z okazji 40 lecia Powstania Śląskiego (K)
13.30 PRZERWA
14.15 Niedzielna Bieslada (Kraków p. Katowice)
15.15 PKF (W)
15.30 Sprawozdanie z międzynarodowych Zawodów Hippicznych w W-wie (W) Transmisja do NRD
17.00 Film z serii Disneyland (W)
17.50 „Plebiscyt piosenki" program rozrywkowy (W)
18.30 „Jedziemy do lasu" teleturniej (W)
20.00 Dziennik telewizyjny (W)
20.45 „Symfonia pastoralna" film fab. prod. francuskiej od lat 18 (W)
22.30 Wiadomości sportowe (W)

Z wierszy dla dzieci

O piesku i Bonifacusiu

Szedł sobie Bonifacuś
Szeroką, prostą drogą.
I patrzy — piesek leci,
Który miał jedną nogę

Kulawiutką. A miał serduszko
Dobre, Boniuś, nasz miły chłopiec
Więc stanął i zapytał: :
Co ci jest piesku w nogę?

A piesek zawył na to
Boleśnie i przeciągle:
To ten niedobry Jacek
Nóżkę mi potłukł rondlem.

Oj, ty niedobry Jacku
Maluchu i huncwocie,
Ty chamie i bydlaku,
Oj, ty niedobre chłopię.

Kiedy cię autor złapie,
(jeśli się nie poprawisz)
To cię zelży i skopie
I też cię okulawi.

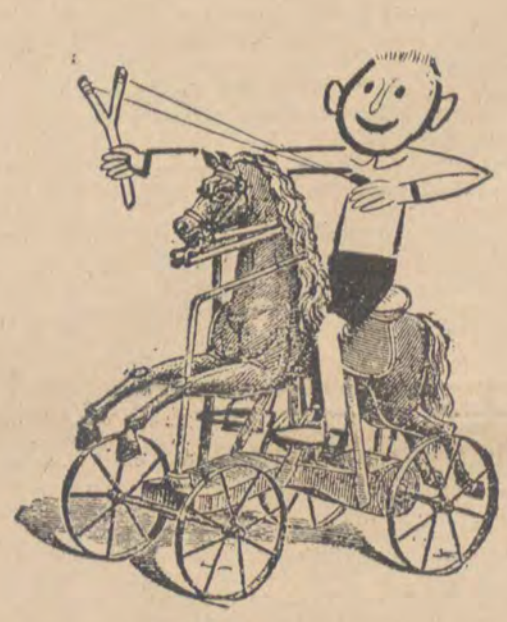

Zapał + tężyzna = dziecko

Dzień Dziecka! Wielkie i piękne święto. Dzień radosnej manifestacji, wielkiego przeglądu naszego dorobku i pokaz niezmordowanej siły witalnej naszych rodziców.

Dziecko to skarb. Dwoje dzieci to majątek. Czworo dzieci to skarbonka. Oszczędzajmy. Oszczędność i praca i dzieciom popłaca. Dziecko należy zrozumieć. Niestety, większość rodziców zaślepiona modelem idealnego dziecka niszczy jego własną indywidualność. To niedopuszczalne.

Dziecko musi pozostać sobą, takim na jakie nas stać. A pogoda płata figle. Dlatego apelujemy: „Zrozumcie dziecko w każdej sytuacji! Pozwólcie mu działać! Nie karzcie bezmyślnie za drobne przewinienia w rodzaju użycia serwisu rodzinnego jako broni balistycznej, a najbliższej rodziny jako celu".

Dziecko należy szanować. Zapamiętajmy co powiedział znany i ceniony pedagog: „Dziecko?! Znam to w dwóch postaciach: cudze i własne. Własne przeważnie genialne i dobrze wychowane. Cudzych nie znoszę".

Jak powstają dzieci

Paszkwil demaskatorski na narodowe łganie

W tysiącletniej tradycji oszukiwania naszych milusińskich istnieje pewien szablon. Zawsze, zależnie od warunków społecznych, politycznych, a także klimatycznych w poszczególnych epokach historycznych oszukiwało się dzieci bez polotu i bardzo stereotypowo. I tak na pytanie: „Jak ja się urodziłem" w czasach prehistorycznych otrzymywało pachołę od taty silny cios dębową maczugą w płową głowinę. Sposób ten, mimo swej pozornej brutalności, ma też i dobre cechy. W ten sposób pouczony potomek, zaniechiwał niewczesnych pytań i drogą twórczych poszukiwań sam odnajdywał odpowiedź na nurtujące go pytanie. A oto inne odpowiedzi:

BOCIAN. Jest to jedna z najgłupszych odpowiedzi. Już prowizoryczne porównanie ogólnego tonażu przyrostu naturalnego z nośnością skrzydeł ogólnego poglowia bocianów odbiera pozory naukowości temu twierdzeniu. Każde dziecko wie, że po roku takiej harówki wszystkie bociany by zdechły.

KAPUSTA. Również idiotyczna. W kapuście nie znajdujemy niemowląt. Przyrost naturalny notowano by tylko w rodzinach tzw. badylarzy.

KUPOWANIE. Tłumaczenie szyte grubymi nićmi. Przy ciągle jeszcze nie najwyższych zarobkach niemożliwy byłby fakt tak częstego kupowania dzieci w sklepach. Nie mówimy już o tym, że dzieci poprzednio kupione trzeba w coś ubrać. Nie wspominamy też o utrudnieniach w postaci remanentów, remontów i przyjęć towaru.

PAN BÓG. Zwracamy uwagę na nieaktualność tej wymówki w dobie kiedy „gmin coraz bardziej laickim się staje".

Wyjścia z tej sytuacji można sugerować różne. Najlepiej jednak zwrócić się do najbliższej Poradni Świadomego Macierzyństwa. Powinna mieć specjalną wersję dla dzieci, wyjaśniającą co, gdzie i jak.

Złote myśli

(zasłyszane, wymyślone I ukradzione)

Cicho bo cię zetrę — powiedział 5-letni Jacuś do młodszej siostrzyczki — biorąc gumkę do ręki.

„Mój tatuś kupuje mi zabawki — bo to jest tatuś w dobrym gatunku".

Dlaczego płaczesz — spytano 3-letniego Marka. — Bo mi pani doktór zaszczepiła durnia na całe życie.

Wyje strażacka syrena. Mały Stasio mówi: „jak będę duży to zostanę strażakiem i też będę wył".

„Czemu mama na mnie się gniewa — przecież szafę porysował ołówek a nie ja".

PEDAGOG RADZI

Najpoważniejszym błędem rodziców był w dawnych latach dogmatyczny stosunek do prawdy; brak liberalizmu. Jak ojciec powiedział, że czarne jest białe, to tak musiało być, chociażby pioruny z nieba leciały. A dzieciom niczego nie było wolno. Za sanacji.

Dziś przeciwnie. Oto przykład: pada deszcz.

MAMA: wyjdź sobie kochane dziecko i zmoknij, bezpośredni kontakt z rzeczywistością i katar i gorączka wywołają w tobie dozgonny wstręt do wody.

TATUŚ: pobaw się Franiu niewypałami. Po pierwszym razie odechce ci się na zawsze.

MAMUSIA: nie ucz się córko, rok, dwa, wyleją cię ze szkoły i będziesz miała za swoje.

TATUŚ: włócz się gdzie chcesz, chuligani cię obiją i na drugi raz będziesz mądry jak tatuś. Oddasz im z nadwyżką.

MAMUSIA: Spaceruj, Justynko, z chłopcami, baw się, szalej, to twoje prawo natury, a jak ci jeden i drugi czystość odbierze, będziesz jej w przyszłości lepiej strzegła.

TATUŚ: napijmy się, synku, razem. I tak musisz być dorosły. Teraz ludzie szybciej rosną. A jak sobie zwrócisz raz i drugi odechce ci się picia.

Czy to pedagogika słuszna? Bardzo słuszna, obywatele. Tylko ją upowszechniać. Dzieci powinny same przekonać się o szkodliwości niektórych praktyk. A że większość do nich przywyknie? Nie ma róży bez kolców.

Opowieść o Źródlaku

I przyszła pani. Potem jak pani wyszła, Klucha uderzył Pawła w głowę gipsem, bo miał wtedy złamaną rękę. I na to weszła pani kierowniczka, bo miała u nas stawiać stopnie. I Klucha poszedł do Kierusa i mu wyrwali mandat. A mandat to jest straszna rzecz. Cztery takie mandaciki, jak wyrwą, to wyrzucają ze szkoły. Ja mu powiedziałem: ty, zły uczniu. A on do mnie: ty, kłamczuchu bezczelny! To ja mu mówię: Przestań, bo ci dopakuję. I zaczęła się walka. Wtedy ja mu tak w dziąsło trafiłem i mu ząb wypadł. Pani powiedziała, że dostanę uwagę i rzeczywiście dostałem uwagę. Na drugi dzień Źródlak znowu wpadł na Kierusa i rozdarł mu garnitur. I dostał uwagę i Kierus powiedział, że pani nasza ma bardzo chuliganerię w klasie. Wtedy pani powiedziała: Źródlak, ty za dużo broisz. Albo jeszcze coś fajnego: Raz jak ja byłem w kozie, Źródlak rzucił bułką — nie — bardzo przepraszam, ale potem była inna pani, dwa tygodnie nas uczyła. Potem przyszła nasza i Źródlak z radości rzucił bułką i trafił w doniczkę. Doniczka spadła, rozsypała się ziemia, Źródlak musiał zbierać. Drugi raz wszyscy pisali arytmetykę, a Źródlak wylał atrament. Wtedy pani powiedziała i Źródlak dostał uwagę. Albo jak się raz biliśmy, Źródlak uderzył mnie w kark. Ja go powaliłem, a tu idzie Kierus. Ja się podniosłem, a Źródlak poszedł do kancelarii i wyniósł uszy piekące. Ale potem na nowo zaczęła się walka.

Przypisy

1. *Źródlak. Postać mityczna (vide: Źródlak — źródło — generis).*
2. *Kierus. W gwarze pierwszoklasistów — kierownik szkoły.*
3. *Mandacik. Rodzaj prawa jazdy dla uczniów. Wyrwanie mandaciku powoduje zmniejszenie stopnia ze sprawowania.*
4. *Wszystkie wyżej opisane fakty pochodzą z autentycznej relacji ucznia klasy pierwszej. Nazwiska ze względu na spodziewane represje ze strony kolegów zostały zmienione.*

PIĘKNE DZIEWCZĘTA NA ŁAMY „ODGŁOSÓW".

Fot. W. Ulański

Listy do Redakcji

W uzupełnieniu zamieszczonego w Nr 18 Waszego pisma „Listu otwartego do Przewodniczącego Prezydium MR Narodowej m. Łodzi" i komentarza w tej sprawie Redakcji „Odgłosów" dla bardziej wszechstronnego naświetlenia omawianego problemu czujemy się w obowiązku podać niektóre fakty, które dziwnie wstydliwie zostały pominięte przez autorów listu. Autorzy listu zapomnieli napisać, że garaże zlokalizowane zostały na jednej wolnej przestrzeni, jaka istnieje między blokiem przy ul. Spornej Nr 72, a dwoma sąsiednimi blokami przy ul. Wojska Polskiego i ul. Środkowej oraz znajdującym się w trakcie wykończenia żłobkiem i przedszkolem. Wolna ta przestrzeń jest jedynym miejscem zabaw i odpoczynku (poza ulicą) dla przeszło 100 dzieci mieszkających we wspomnianych trzech blokach, nie licząc przynajmniej drugie tyle dzieci, które już za parę miesięcy zaczną uczęszczać do żłobka i przedszkola i mieszkających tu dorosłych.

Autorzy listu piszą o zwiezionych na miejsce budowy materiałach wartości ca 20.000 zł. Spoglądając przez okna naszych mieszkań z ledwością możemy ocenić wartość przywiezionych przez budowniczych garaży materiałów na 10 proc. wyżej podanej kwoty. Chyba że autorzy listu do swoich materiałów doliczają niezrozumiale razem z prywatnymi leżące materiały państwowego przedsiębiorstwa budowlanego.

W świetle wyżej wyszczególnionych faktów, co najmniej dziwną wydaje się lokalizacja garaży. Zaprzecza ona zdrowemu rozsądkowi. Opinię naszą w tej sprawie podzielają obiektywni fachowcy — projektanci osiedli, nie zainteresowani osobiście w budowie wspomnianych garaży. Pragniemy dodać, że mimo nie posiadania „butów XX wieku" jesteśmy zwolennikami rozwoju motoryzacji i jej zaplecza w naszym mieście. Jesteśmy za budową garaży samochodowych, ale nie w miejscach, na których budowa przeczy jakiejkolwiek logice. Chętnie ze swej strony pomożemy w wyszukiwaniu odpowiednich do budowy garaży miejsc tym architektom, którzy uważają że „najlepiej budować garaże w najbliższym sąsiedztwie żłobków i przedszkoli".

Wbrew autorom listu zawsze uważaliśmy i będziemy twierdzić, że troska o dzieci, troska o zapewnienie im najlepszych warunków do rozwoju, będzie pierwszoplanową sprawą bez względu na to ile będziemy mieli samochodów i ich wartości, zawsze będą one mniej warte od człowieka. Z tym faktem autorzy listu, którym dane jest żyć w ustroju, który uznaje człowieka za najwyższe dobro, czy będą chcieli czy nie, będą musieli się z tym pogodzić. Dlatego też bardzo zdziwieni jesteśmy pasją, godną lepszej sprawy z jaką Redakcja „Odgłosów" zajęła się całą sprawą. Bardzo chcielibyśmy poznać nazwisko autora komentarza, który bez zaznajomienia się z całokształtem sprawy uznał nas wszystkich mieszkających w trzech wyżej wspomnianych blokach za „zawistnych i zacofanych myślowo", a jedynie autorzy listu uważani są za ludzi postępowo myślących. Ciekawi jesteśmy kogo by autor komentarza uznał za „zawistnych", gdyby przy zadaniu sobie nieco trudu dowiedział się, że Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź-Bałuty słusznie uznając interesy mieszkańców bloku zmieniło lokalizację garaży, przesuwając miejsce ich budowy w bardziej przydatne — blisko położone inne miejsce.

A jednak autorzy listu mimo, że wiedzieli o tej decyzji, która w pełni zabezpiecza ich interesy z dziwnym uporem próbują przeforsować budowę w dawnym nie odpowiednim miejscu. Podejrzewamy, że autorom listu jakoś specjalnie zależy, aby budować garaże na placu budowy, ogrodzonym przez państwowe przedsiębiorstwo budowlane w którym zatrudniony jest jeden z autorów listu Ob. Mruk Bolesław. Czyżby ten fakt miał przyśpieszyć wykonanie robót?

Wśród poważnych, szanujących się dziennikarzy jest dobry zwyczaj, gruntownego zbadania problemu na miejscu przed wydaniem o nim swojej opinii. Szkoda, że tego zwyczaju nie ma autor opinii Redakcji. Wtedy nie uważałby zdania ludzi pracy, których uposażenie nie pozwala jeszcze na kupno samochodów (a takich ludzi w Polsce jest ponad 99%) za „opinię magla i podwórka".

Przy okazji pragniemy dodać, że ci co według Redakcji „Odgłosów" reprezentują „opinię magla i podwórka" w czasie swojego stosunkowo krótkiego okresu zamieszkania przy ul. Spornej 72 przyczynili się do zorganizowania we wspomnianym bloku świetlicy TPD dla dzieci, wzięli udział przy zazielenianiu w czynie społecznym osiedla, w samym bloku dla podniesienia jego estetyki zakupiono wycieraczki, założono kwietniki i zorganizowano stałą bezinteresowną konserwację bloku. W ten sposób wyobrażamy sobie nasz współudział w utrzymywaniu w należytym stanie „Osiedla Wł. Bytomskiej".

„Gratulując" Redakcji „Odgłosów" poziomu komentarza zarówno odnośnie treści jak i formy, jako stali czytelnicy „Odgłosów" obawiamy się, że tego typu komentarze mogą poważnie zmniejszyć poczytność pisma. Zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że wyjaśnienie nasze wobec zaangażowania się w komentarzu Redakcji „Odgłosów" nie zostanie wydrukowane ,pozwalamy sobie je jednak przesłać, aby zwrócić uwagę na konieczność bardziej rzetelnego i obiektywnego informowania opinii publicznej w sprawach które w przyszłości będą poruszane na łamach „Odgłosów".

Następują podpisy przedstawicieli dwóch Komitetów Domowych Terenowego Komitetu FJN i Prezydium Terenowego Komitetu FJN.

Od redakcji

Drukujemy powyższy list z uczuciami radości i zaniepokojenia. Raduje nas oczywiście fakt że mała wojna z powodu garaży zmierza do końca. Cieszymy się z możliwości zgody na Osiedlu im. Władysława Bytomskiej. Istotnie, trzeba tak ułożyć sprawy, aby dzieci miały się gdzie bawić, a właściciele samochodów mogli wybudować sobie garaże.

Jesteśmy jednak również zaniepokojeni. Rozumiemy, jeżeli mogło się pomylić Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej — Bałuty, cóż dopiero zwykli ludzie. Tylko, że Prezydium naprawiło błąd i przesunęło budowę garaży na inne, miejmy nadzieję właściwsze miejsce. Czy uczynią podobnie autorzy listu, który drukujemy? To przecież nieładnie znanych, i szanowanych obywateli posądzać o coś w rodzaju przywłaszczenia państwowych materiałów budowlanych Chyba, że się tego dowiedzie, inaczej mamy do czynienia z chwytem poniżej pasa. Autorzy mówią o pracy obywatelskiej komitetów blokowych. Nie trzeba bezinteresownych czynów społecznych mieszać ze sprawami garaży. Pan Kuźmiński także zasłużył się krajowi i miastu jako reżyser, pan Niemczyk znany jest milionom ludzi jako aktor, pozostali też nie próżnują. Nieładnie przemilczeć sprawę oddania w ręce dzieci łopat, aby zakopały to, co właściciele samochodów zgodnie z pozwoleniem władz do tamtej nieszczęsnej chwili zdołali zrobić. Jest to stwarzanie faktów dokonanych wbrew faktom prawnym. Jeśli to nieprawda tym bardziej należało sprawę wyjaśnić.

To nieładnie, bardzo nieładnie pouczać redakcję, jak ma pracować. A już stwierdzać autorytatywnie, że listu nie wydrukujemy znaczy tyle co dokonać przykrej, zupełnie bezpodstawnej insynuacji na wyrost.

List publikujemy hołdując zasadzie wzajemnego zaufania i wolności wypowiedzi. Zyskały możliwość druku obydwie strony. O czyjej nierzetelności wypada wobec tego mówić?

Obywatel Redaktor Tygodnika „Odgłosy"

W „Odgłosach" nr 20 z dnia 21 maja br. na str. 12 pt. „Poślizg" Tygodnik zamieścił notatkę o kombinacjach steelonowych, w której m. in. wspomina o inspektorze łódzkiego IKR, Tadeuszu M., jakoby „pobierał odsetki z zysku do własnej kieszeni". Otóż wyjaśniamy, że nie dotyczy to inspektora łódzkiego Inspektoratu (jak mylnie informuje Tygodnik), lecz Inspektoratu na województwo łódzkie.

Prosimy więc o zamieszczenie sprostowania tej sprawy i powiadomienie o tym tut. Inspektoratu.

Wojewódzki Inspektor
Kontroli Finansowej
(—) mgr R. Lewandowski

Od redakcji

Zamieszczając sprostowanie „tej sprawy" powiadamiamy o tym tutejszy Inspektorat.

ODGŁOSY tygodnia

Niezwykła siła woli?

W piękną niedzielę majową zdarzył się w Łodzi wypadek bez precedensu: Łódzka Fabryka Win zorganizowała dla swoich pracowników wieczorek... bezalkoholowy. Uczestnicy imprezy bawili się wspaniale przy dźwiękach orkiestry zakładowej. Nie wiadomo co należy więcej podziwiać: energię i sztukę przekonywania ze strony koła Ligi Kobiet i ZMS (organizatorzy) czy też hart psychiczny pracowników bądź co bądź prowokującej fabryki.

Złośliwi twierdzą, że ludzie produkujący t a k i e wina nie mają żadnych trudności z abstynencją... Mimo tego — przykład godny naśladowania i rozpowszechniania.

Głosy dręczonych

W jednym z „Listów do pani Z." Kazimierz Brandys stwierdził, że współcześni malarze dręczą swoich widzów. Dziś cytujemy głos „dręczonych" przez Jerzego Nowosielskiego.

„Wykichaj się ze swoimi bazgrołami..."
podpis nieczytelny

„Chciałabym mieć w domu choć jeden obraz Nowosielskiego. Jeżeli jest młody, to wróżę mu sławę.
17-letnia plastyczka

„Płakać się chce nad głupotą młodych zachwycających się bzdurą. Moja 6-letnia wnuczka nie gorzej maże".
Krawcowa

„Panowie... dla kogo to? Wy się wyżywacie, a robotnik za to płaci!!! Udzielam lekcji malarstwa".
Działaczka LK

„Panie Nowosielski, z kim trzeba opić tę sprawę, aby zorganizować wystawę w tym lokalu?" (Piotrkowska 102, dop. red.).
Andrzej Nowak

„To nie jest sztuka dla mas. Kto tak widzi rzeczywistość? Kto to zrozumie i odczuje? Jeśli to są akty kobiece — te maszkary z oknem w brzuchu, to życzę Panu Arcy-Mistrzu, takiej żony".
Kawaler

CMOP

Na terenie łódzkich fabryk działa pięć grup manewrowych ochrony przemysłu przed kradzieżami, zrzeszających 78 pracowników. W r. ub. przeprowadziły one ponad tysiąc akcji interwencyjnych, ponad półtora tysiąca kontroli przepustek, pięć tysięcy kontroli transportu zakładowego itd.

Efekty? M. in. w Zakładach Przem. Dziewiarskiego im. Kasprzaka złapano brakarkę na grubszej kradzieży rękawiczek, w Zakładach Przemysłu Pończoszniczego wykryto szajkę złodziei specjalizujących się w kradzieży większych partii skarpetek, które sprzedawali prywatnym kupcom.

GMOP zdała więc swój egzamin życiowy na bdb.

„Zawodowe nieporozumienie"

„Człowiek sobie podjadł, popił, teraz by..." Z marzeń o tym co by było, gdyby było... wyrwały Wacława Dylewskiego (Łódź, ul. Próchnika 4) brutalne słowa kelnerki: proszę płacić! To przyziemne żądanie tak dalece kłóciło się z romantycznym nastrojem Dylewskiego, że postanowił dać temu widoczny wyraz przez odmowę uiszczenia rachunku. I już miał z wysoko podniesioną głową i pogardliwą miną opuścić bar „Pomorski", gdzie oddawał się nie tylko wzniosłym rozpamiętywaniom, ale również doczesnym przyjemnościom spożywania „chleba w płynie", gdy na przeszkodzie temu zamiarowi stanął funkcjonariusz MO.

To tak zdenerwowało p. Dylewskiego, oburzonego na nielojalność kelnerki, że obrzucił milicjanta stekiem wyzwisk i powędrował do aresztu.

I nic nie pomogło tłumaczenie, że „zatarg miał charakter sporu zawodowego", jako że Wacław Dylewski jest... kelnerem Kolejowych Zakładów Gastronomicznych. Sąd skazał nielojalnego kolegę-kelnera na 4 miesiące aresztu!

Górą trunkowi

Przedstawiamy naszym czytelnikom tabelę wniosków, jakie napływały do Kolegium Orzekającego przy DRN Łódź Górna w ciągu roku 1960.

L. p.	Rodzaj wykroczenia	Liczba wniosków o ukaranie
1.	Zakłócenie spokoju publicznego w stanie nietrzeźwym	1.052
2.	Inne zakłócenia spokoju publicznego	991
3.	Sanitarne	508
4.	Drogowe	489
5.	Meldunkowe	379
6.	Inne	686
	O g ó ł e m	4.105

Tabelka ujawnia dwie charakterystyczne cechy wykroczeń w dzielnicy Górnej. Po pierwsze — bogactwo ich asortymentu, gdyż te „inne" przestępstwa, nie mieszczące się w typowych rubrykach stanowią 40,9 procent wszystkich wykroczeń. A po drugie — górą „trunkowi", oni to bowiem zabierają Kolegium Orzekającemu 25,5 procent cennego czasu. Zamierzają zabierać więcej, liczba wykroczeń popełnionych w „pijanym widzie" powoli, ale za to systematycznie rośnie.